

BARBARA BOSWELL

W pułapce uczuć

PROLOG

Koniec czerwca

- Michelle! Jak miło cię widzieć! - Steve Saraceni wstał, uśmiechając się z udawanym zadowoleniem. - Co nowego w biurze senatora Dineena?

To serdeczne powitanie tak zaskoczyło Michelle, że dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. Więc tak postanowił to rozegrać? Jakby byli parą starych znajomych, weteranów pensylwańskiej sceny politycznej, beztrzesko rozmawiających o pogodzie! Jakby ostatnim razem nie rozstali się w gniewie.

Jak on to robi, zastanawiała się z podziwem. Jego uśmiech wydawał się tak szczery. Nawet oczy Steve'a błyszczały ciepłem. Cokolwiek czuł, ta gładka maska uprzejmości nigdy nie zniknęła z jego twarzy. Przynajmniej nie na oczach innych. Ja jestem tutaj wyjątkiem, pomyślała Michelle. Kiedy byli tylko we dwoje, poznała tego mężczyznę bez maski. Zakochała się w nim. Teraz jednak, choć byli sami, witał ją oficjalny i obojętny Steve. Żal przejął Michelle aż do bólu. Steve przeszedł przez pokój, wyciągając do Michelle rękę. Lobbyści, a Saraceni był właśnie lobbyistą reprezentującym różnych klientów, mieli często opinię zimnych, agresywnych i wyrachowanych, lecz Steve posiadał dar zjednywania sobie ludzi. Potrafił oczarować każdego. Na scenie walki politycznej Steve Saraceni nie miał wrogów.

Był najbardziej wyrafinowanym i pewnym siebie mężczyzną, jakiego Michelle kiedykolwiek spotkała. Mężczyzną, który umiał uczynić ze swego czaru i uroku osobistego niezawodną broń. Nie miała żadnych szans, przyznała z żalem. Była naiwna, sądząc, że może być inaczej.

Nie podała mu ręki, zmuszając Steve'a, by opuścił ramię. Było to niewielkie, lecz zdecydowane zwycięstwo. Steve ponad wszystko nie lubił wyglądać głupio. Zdarzało mu się to rzadko, jeśli w ogóle. Steve Saraceni zawsze potrafił znaleźć się we właściwym miejscu, z właściwymi ludźmi, postępując właściwie... przynajmniej z politycznego punktu widzenia.

To przypomniało Michelle o celu jej dzisiejszej wizyty. Poczwała nagłą suchość w gardle. Czy postępuje właściwie, przychodząc tu i wyjawiając mu prawdę? Całe godziny zastanawiała się nad tym.

- Co cię sprowadza, Michelle? - zapytał Steve. Jego głęboki głos brzmiał przyjemnie, lecz bezosobowo.

Takim tonem mógłby zapytać przechodnia na ulicy o godzinę. Zabolęła ją, że zwrócił się w ten sposób do niej. Kiedyś jego głos brzmiał miękko i intymnie. Michelle zastanawiała się, czy inna kobieta słucha teraz tamtych czułych wyznań. Znając reputację Steve'a, najprawdopodobniej tak właśnie było.

Michelle skoncentrowała się na tym, by stłumić złość, która nagle ją ogarnęła. Nie może pozwolić, by zawaładnęły nią emocje. Musi pozostać równie zimna i opanowana jak on.

- Nie chcę zabierać więcej twego cennego czasu, niż jest to absolutnie konieczne - oświadczyła sucho. - Przyszłam, ponieważ sądziłam, że masz... - urwała i westchnęła. Była coraz mniej pewna tego, co robi.

Jeśli nie powie mu teraz, nigdy się na to nie zdobędzie.

- Masz moralne prawo wiedzieć. - Uniosła głowę.

- Jestem w ciąży.

Steve poczuł się, jakby celny strzał trafił go w samą czaszkę. Zrobił krok w tył i zawadził o biurko. Oparł się na nim ciężko, cały pokój zdawał się wirować jak oszalały.

- Cco takiego? - Brakowało mu tchu jak po otrzymaniu ciosu w splot słoneczny.

Tak samo czuł się kiedyś, jeszcze w czasach gimnazjalnych, gdy podczas meczu piłki nożnej wpadł na niego napastnik przeciwnej drużyny. Wtedy właśnie uznał, że z pewnością istnieją łatwiejsze sposoby zdobycia upragnionych przez niego pieniędzy i poważania. Zdecydował się poszukać szczęścia w polityce. Kiedy poznał bliżej pracę lobbystów, niezwykle wpływową, niezależną i lukratywną, stwierdził, że jest do niej stworzony.

Odnosił w tym zawodzie ogromny sukces. Podejmował różne wyzwania, ale nie było takiego, z którym nie potrafiłby sobie poradzić. Wtedy spotkał Michelle Carey, asystentkę senatora Edwarda Dineena. Wyzwanie? Być może, ale nie ponad jego siły. Przynajmniej tak sądził.

Była zaledwie średniego wzrostu, lecz pantofle na obcasach sprawiały, że wydawała się wysoka. Miała miękką, drobnokościstą budowę. Była szczupłą... lecz zaokrągloną wszędzie tam, gdzie było to pożądane. W zamyśleniu powiódł wzrokiem po jej sylwetce. Prosta garsonka podkreślała zgrabną figurę Michelle.

Pamiętał dobrze jej pełne piersi, jedwabistą skórę talii, kobiece łuki bioder. Steve poczuł ból w podbrzuszu. Michelle była blondynką o cerze koloru kości słoniowej. Pociągała go seksualnie od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, choć dziewczyna bardzo starała się zachować pomiędzy nimi służbowy dystans.

Odebrał to jako wyzwanie, zaintrygowała go. Nie zdarzyło się, by Steve Saraceni zapragnął jakiejś kobiety i nie mógł jej mieć.

- Jak? - wykrztusił wreszcie.

Michelle wpatrywała się w gruby, miękki dywan.

- Wiesz, jak - szepnęła. Czwała, że twarz jej płonie, zaczynała się pocić.

- Byliśmy przecież bardzo ostrożni! - zawołał Steve. To nieprawda! Takie kłopoty przytrafiają się nieopierzonym nastolatkom, a nie mężczyźnie trzydziestocześcioletniemu, którego dochód w dużym stopniu zaspokajał już jego ambicje.

Michelle przygryzła wargi, które zaczynały drżeć.

- Najwyraźniej nie dość ostrożni. Najwyraźniej nie.

Steve powrócił myślą do pewnej nocy, gdy czuł się pewnie, beztrąsko i sądził, że świat leży u jego stóp. Zapomnieć o rozwadze było łatwo. Zawsze lubił ryzyko, a ten rodzaj ryzyka wydawał się mało istotny w obliczu płomiennego pożądania. Poza tym wszelkie konsekwencje nigdy jego nie dotyczyły. Oprócz tej jednej, maleńkiej i niewidocznej, ukrytej w płaskim jeszcze brzuchu Michelle. Grymas wykrzywił twarz Steve'a.

- Michelle, jesteś pewna? - Była jeszcze szansa, że się myli.

- Oczywiście, że jestem pewna - odparła zimno Michelle. - Naprawdę sądzisz, że przyszedłabym tutaj, narażając siebie na to wszystko, gdybym nie była pewna?

- Nie wiem, może tak? Po naszej, hm... sprzeczce... mogłabyś pragnąć zemsty. A to z pewnością byłby znakomity sposób...

- Daruj sobie to zakłamanie. Nie sprzeczaliśmy się, lecz kłóciliśmy. I jeśli pragnęłabym zemsty, a nie pragnę, wybrałabym sposób mniej dla mnie upokarzający. Możesz mi wierzyć.

- Uważasz, że chciałbym cię upokorzyć? - spytał z sarkazmem w głosie. - To zaskakujące, zważywszy, że przy ostatnim spotkaniu nazwałaś mnie podłym oszustem.

- Czego się spodziewałaś? - krzyknęła. - Jesteś nim! Steve poruszył się niespokojnie. Nie lubił takich oskarżeń, wolał myśleć o sobie pozytywnie. Najwyższy czas, by zmienić bieg tej rozmowy.

- Michelle, nie rozumiesz po prostu praw rządzących... - Urwał, widząc, jak bardzo jest wstrząśnięta. - Och, po co w ogóle zadawać sobie trud wyjaśniania ci czegokolwiek. Nie chcesz zrozumieć, wolisz widzieć we mnie łajdaka bez skrupułów, który...

- Nie przyszłam się kłócić - przerwała mu Michelle. Czowała w głowie niebezpieczny zamęt. Nie patrząc przed siebie, przeszła przez pokój i opadła na skórzaną kanapę. Oparła łokcie na kolanach i opuściła głowę. Ciemnoblonde włosy rozsypały się w nieładzie.

Steve wpadł w panikę. Nie miał żadnego doświadczenia, jeśli chodziło o ciężarne kobiety.

- Michelle, dobrze się czujesz? - Zanim ruszył w jej stronę, wcisnął klawisz wewnętrznego telefonu. - Saran, przynieś szklankę wody! Szybko!

Chwilę później zjawiała się kuzynka Steve'a Saran, wykonująca w biurze obowiązki recepcjonistki, kiedy ogarniał ją pracowity nastrój. Steve odebrał od niej wodę i przytknął szklankę do ust Michelle.

Dziewczyna odepchnęła jego rękę.

- Nie chcę tego - szepnęła. Siedziała blada, bez ruchu, jej twarz pokrywały kropelki potu. Steve wstał i z rozpaczą rozejrzał się po pokoju. Saran przyglądała się im z wyraźną ciekawością. Wiedział, że jego kuzynka uwielbia plotkować. Musiał pozbyć się jej stąd jak najszybciej.

- Saran, poradzę sobie. Nie masz ochoty wyjść na lunch?

Saran zawsze z utęsknieniem czekała na te słowa. Już po chwili Steve i Michelle znów byli sami. Michelle zerknęła na Steve'a. W niczym nie przypominał zadufanego w sobie, twardego faceta, który prześlizguje się przez życie okryty aurą zwycięzcy. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ma ochotę pocieszyć go, odbudować tę jego radosną, męską pewność siebie. Objąć go i...

Potrząsnęła głową, chcąc odegnać te zdradzieckie myśli. Wstała.

- Popeliłam błąd przychodząc tutaj. Nie powinnam była ci mówić, że jestem w ciąży.
- Oczywiście, że powinnaś była mi powiedzieć - uciął krótko Steve. - Skoro oskarżasz mnie o ojcostwo, mam prawo przynajmniej o tym wiedzieć.

Michelle rozgniewały jego słowa.

- Nie oskarżałam cię, lecz poinformowałam. I żałuję, że to zrobiłam. Możesz o tym zapomnieć, Steve. Nie chcę i nie potrzebuję niczego od ciebie. - Ruszyła w stronę drzwi.

Chwytał jej ramię, zatrzymując Michelle w miejscu.

- Co masz zamiar zrobić?
- To nie twoja sprawa.
- Do diabła, a czyja?! Oświadczasz, że jesteś w ciąży, a potem każesz mi o tym zapomnieć.

Michele wyrwała rękę.

- Po prostu powiedz sobie, że nie jesteś za to odpowiedzialny. Powiedz sobie, że jestem łatwa. Nie wiadomo, ilu mężczyzn mogłoby poczuwać się do ojcostwa. Jesteś niewinnym człowiekiem, który został niesłusznie oskarżony.

- Zamknij się!

Gwałtowność tych słów zaskoczyła ich oboje. W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Gniew może jedynie wszystko pogorszyć, pomyślał Steve. Sekret udanych negocjacji polegał na zachowaniu zimnej krwi.

- Usiądźmy i porozmawiajmy...
- To bardziej już przypomina Steve'a Saracenię, jakiego znam - wtrąciła Michelle złośliwie. - Widzę nawet ten uroczy zaufaj-mi-jestem-po-twojej-stronie uśmiech.

Steve momentalnie spowaźniał.

- To nieuczciwe, Michelle. Staram się...
- ...zbić z tropu rozmówcę, oceniając jednocześnie własne szanse?
- ...zachować spokój i myśleć jasno - poprawił ją Steve, marszcząc brwi z dezaprobatą.
- Czy powinnam pochwalić twój spokój? Pewnie tak. Jesteś przyzwyczajony do pochwał, przyzwyczajony do tego, że robisz, co chcesz i dostajesz to, czego pragniesz. - Ton jej głosu był coraz wyższy, wydawała się być bliska płaczu.

- Michelle, robię, co w mojej mocy...

- Tak, ty zawsze robisz wszystko, co w twojej mocy. Jesteś niepokonany, zawsze zwycięski. Już wcześniej słyszał ten komplement, teraz jednak Michelle wypowiedziała go w taki sposób, że Steve wydał się sam sobie odpychający. Skrzywił się.

- Michelle, jestem cierpliwy, ale czynisz to wszystko znacznie trudniejszym dla nas obojga. Przyznała mu w duchu rację. Nie wiedziała, czemu tak postępuje. Mimo wszystko nie zachował się tak, jak się tego obawiała, ogarnięta najgorszymi przeczuciami; nie wyparł się ojcostwa, nie oświadczył, że to jej problem, nie jego.

Nie wziął też jej w ramiona. Nie pocałował, szepcząc, że od czasu ich rozstania żyje w prawdziwym koszmarze. Nie cieszył się, że kobieta, którą kocha, nosi jego dziecko, nie oświadczył, że będą odtąd żyli razem długo i szczęśliwie.

Jakaż była naiwna! Nie chciane łzy napłynęły do oczu Michelle. Miała dwadzieścia pięć lat, była niezamężna i w ciąży z człowiekiem, który jej nie kochał i który wychwalał zalety kawalerskiego stanu, nie ukrywając, że chce w nim pozostać. Jeszcze chwila, a rozplacę się jak dziecko, pomyślała.

- Przepraszam, że nie doceniłam twoich wysiłków, by nie stracić cierpliwości, zachować

spokój i myśleć jasno - oświadczyła, starając się ironią zamaskować własną słabość. - A teraz, jeśli wybaczysz, mam o pierwszej spotkanie z senatorem Dineenem. Ty na pewno też jesteś umówiony.

Wyszła tak szybko, że zanim Steve zdołał ją dogonić, dziewczyna była już w holu.

Odprowadził ją do windy.

Michelle raz i drugi niecierpliwie nacisnęła guzik przywołujący windę.

- Zgoda, idź na swoje spotkanie - powiedział Steve cicho, nie chcąc, by słyszała go któraś z oczekujących wraz z nimi na windę osób. - Porozmawiamy później. Przyjdę wieczorem...

- Oszczędź sobie trudu - szepnęła Michelle. - Nie będzie mnie w domu.

Nadjechała winda i wysiadło z niej kilka osób.

- Kiedy się spotkamy? - chciał wiedzieć Steve. Powodowany impulsem, chwycił nadgarstek Michelle i pociągnął ku sobie. Dziewczyna usztywniła ramię, zachowując pomiędzy nimi dystans.

- Wyjeżdżam, by spędzić przedświąteczny weekend u siostry, choć to oczywiście, nie twoja sprawa.

- Tak, ale czwarty lipca jest dopiero w środę! Dlaczego wyjeżdżasz dziś? Czy wzięłaś na jutro wolne? Którą siostrę odwiedzasz?

- Zachowujesz się jak prokurator, który postanowił wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań. - Zrobiła krok w kierunku windy.

Steve zacisnął mocniej palce, nie pozwalając Michelle odejść. Podniosła na niego wzrok. Już po chwili wiedziała, że popełniła błąd. Jego spojrzenie zawsze działało na nią wręcz hipnotyzująco. Ma nade mną taką władzę, przyznała z żalem.

- Puść mnie, Steve - poprosiła bez tchu. - Porozmawiamy później.

- Dziś wieczorem. - To było stwierdzenie, nie prośba.

Michelle zerknęła na windę. Pozostali pasażerowie wsiedli już i spoglądali teraz na nią ze zniecierpliwieniem.

- Dobrze. Dziś wieczorem - zgodziła się szybko.

- Zjemy razem kolację. Przyjdę tuż przed szóstą. - Uwolnił jej nadgarstek.

Steve pojawił się przed drzwiami mieszkania Michelle dokładnie za kwadrans szóstą. W rękę trzymał bukiet goździków. Słyszał bicie własnego serca, czuł ucisk w żołądku. Bardzo nie lubił tych fizycznych oznak niepokoju i nie był do nich przyzwyczajony. Nawet jako nastolatek nigdy nie miał problemów z pocącymi się dłońmi czy uciskiem w gardle.

Doświadczał tego za to teraz, los okazał się mściwy.

Steve zapukał do drzwi. Bez skutku. Zapukał jeszcze raz i nacisnął dzwonek. Wciąż nie słyszał z wewnątrz żadnych odgłosów. Zerknął na zegarek. Powiedział Michelle, że będzie tuż przed szóstą. Może nie wróciła jeszcze z biura. Z pewnością nie spodziewała się, że on przyjdzie wcześniej.

Wreszcie, zmęczony czekaniem, wrócił do samochodu. Zaparkował go tuż przed wejściem do budynku, by nie przegapić stąd nadejścia Michelle.

Dziewczyna jednak nie pojawiła się. O szóstej trzydzieści raz jeszcze poszedł do jej mieszkania i zastukał mocno do drzwi. Bez skutku. Rozdrażniony, mamrocząc pod nosem przekleństwa oparł się o dzwonek. Jednocześnie walił do drzwi. W drugim końcu korytarza ukazała się twarz zirytowanej kobiety.

- Nikogo tam nie ma - oświadczyła sąsiadka Michelle. - Panna Carey wyjechała na weekend.

- Wyjechała? - Steve był zupełnie zaskoczony. - Ależ byliśmy umówieni na kolację!
Kobieta wzruszyła ramionami.

- Zdaje mi się, że został pan wykiwany.

Wykiwany! On! To było nie do pomyślenia, całkowicie nie znane mu doświadczenie. Michelle go wykiwała.

Wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, gdy wraz z Saran jechał na święto czwartego lipca do rodzinnego domu. I to nie rodzina, której zaborcza miłość męczyła go i denerwowała, była głównym tematem jego rozważań w drodze do New Jersey. Michelle wciąż pojawiała się w jego pamięci, niczym w kalejdoskopie: Michelle kochająca go i Michelle gardząca nim.

Powrócił myślą do dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy, sześć miesięcy temu. Jak wszystko mogło się tak potoczyć?

W domu swojej przybranej siostry, Courtney Tremaine, na przedmieściach Waszyngtonu, Michelle również nie potrafiła uwolnić się od wspomnień. Wraz z Courtney zachwycając się głośno urodą i sprytem jej trzymiesięcznej adoptowanej córeczki, myślami wciąż powracała do chwil spędzonych ze Steve'em. Powinna była wiedzieć, że tak to się skończy...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Styczeń, sześć miesięcy wcześniej

- Och, to łańcuch szczęścia! - jęknęła Michelle, po czym zgmiotła trzymany w ręku list i cisnęła go do kosza.

- Nie masz zamiaru, hm... przesłać go dalej? - spytał Brendan O'Neal, pracujący wraz z Michelle w biurze senatora Dineena.

- Szkoda czasu. Nie potrafiłabym nikogo obarczyć tym idiotycznym zadaniem. - Uśmiechnęła się. - Nawet Joe'ego McClusky'ego i jego ekipy.

Joe McClusky był największym rywalem Eda Dineena w senacie stanu Pensylwania. Jako asystentka Eda Dineena, Michelle była niesłychanie lojalna wobec swego szefa, a więc także wrogo nastawiona wobec sztabu McClusky'ego.

- Przerwanie łańcucha szczęścia może przynieść pecha. - Brendan wyciągnął z kosza pogniecioną kartkę. - Posłuchaj, co stało się osobom, które to zrobiły: jeden facet wygrał na loterii dziesięć milionów dolarów, lecz zgubił los, inny zginął w katastrofie samolotowej, pewnej kobiecie spłonął dom w tajemniczym pożarze. - Zerknął na Michelle. - Jesteś pewna, że chcesz zaryzykować? Mogłabyś przesłać ten list mnie i oddalić zły czar. Wtedy ja wysłałbym go do McClusky'ego.

Michelle zaśmiała się.

- Nie dam się zastraszyć tymi wyssanymi z palca groźbami. - Wyrwała list Brendanowi i raz jeszcze wrzuciła go do kosza.

- Chciałbym jednak zasugerować, byś nie próbowała szczęścia na loterii ani nie zapalała zapalek, dopóki trwa domniemana klątwa.

Michelle spojrzała na niego z udaną powagą.

- Brendan, idź na lunch.

- Wedle życzenia - odpowiedział jej z równie poważną miną.

Mniej więcej dziesięć minut po wyjściu Brendana drzwi gabinetu Michelle otworzyły się

ponownie. Dziewczyna stłumiła westchnienie. Miała do przejrzenia całą stertę papierów dotyczących miejsc składowania niebezpiecznych dla środowiska odpadów i zaledwie dwa dni na uporanie się z tym materiałem. Przy obecnym tempie pracy będzie musiała czytać te dokumenty po nocach, by zdążyć na czas.

- Przepraszam za wtargnięcie.

W głębokim, aksamitnym głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia. Michelle od razu podniosła wzrok. W progu stał mężczyzna, który wydawał się uosobieniem ideału męskości. Wysoki, przystojny brunet z uśmiechem ruszył w jej stronę. Emanowała z niego pewność siebie i zdecydowanie męski magnetyzm.

- Nazywam się Steve Saraceni. - Mężczyzna wyciągnął rękę. - Pani zaś jest Michelle Carey, asystentka senatora Dineena oraz osoba odpowiedzialna za kontakty z komisją pracującą nad ustawą o eliminacji odpadów niebezpiecznych dla środowiska.

Michelle automatycznie niemal podała mu rękę. Jej serce zabiło mocniej, policzki zaróżowiły się. Gdy zdała sobie sprawę, że sprawdza, czy Steve Saraceni ma obrączkę - nie miał - szybko cofnęła dłoń.

Najwyższy czas odzyskać panowanie nad sytuacją... i nad sobą!

- Panie Saraceni... - zaczęła.

- Proszę zwracać się do mnie: Steve, wszyscy tak mnie nazywają.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, włożył jej w dłoń swoją wizytówkę. Drukowanymi literami na środku wypisano: „inżynierowie prawodawstwa”.

Michelle ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Inżynierowie prawodawstwa?

- Wiem, wiem, brzmi pretensjonalnie. Greg, mój partner, zaproponował tę nazwę. Uważał, że brzmi to lepiej niż lobbyści do wynajęcia, kim w rzeczywistości jesteście.

- Jest pan lobbystą - powtórzyła Michelle. - Oczywiście, powinnam była się domyślić.

- Hm, mam nadzieję, że nie znaczy to: „oczywiście, jeszcze jeden rubaszny, chytry gaduła”. - Uśmiechnął się, w jego słowach wyczuwało się wyraźny dystans do swego zawodu. - Wiem, że taki jest stereotyp lobbyisty, ale ja nie poklepuję po plecach i nie wykręcam rąk przy powitaniu. Wykonuję tylko pracę, do której jestem wynajęty: to znaczy prezentuję stanowisko mojego klienta.

Jego głos brzmiał poważnie i szczerze. Michelle poczuła wyrzuty sumienia przypominając sobie, ile to razy wraz z innymi naśmiewała się z lobbyistów.

- Chciałam powiedzieć, że powinnam była domyślić się, co oznacza nazwa „inżynierowie prawodawstwa” - wyjaśniła szybko. - Słyszałam ją już wcześniej.

- Utworzył ją zapewne ten sam geniusz, który wymyślił nazwę „inżynier domowy” na określenie nie pracującej żony. - Zaśmiał się. - Nie chciałbym zabrać zbyt wiele czasu.

Przyszedłem jedynie, by przedstawić się oraz zaprosić na lunch całą komisję pracującą nad ustawą o eliminacji niebezpiecznych odpadów.

W ciemnych oczach Steve'a zapłonęły iskielki rozbawienia.

- Hm, nie zabrzmiało to najlepiej. Zaproszenie na lunch i niebezpieczne odpady wypowiedziane jednym tchem. Spróbuję wymyślić coś bardziej apetycznego.

Jego dobry humor był zaraźliwy. Michelle odpowiedziała mu uśmiechem. Musiała jednak pamiętać, jaki jest prawdziwy cel tej rozmowy.

- Co interesuje cię w tej ustawie?

- Mój klient jest producentem urządzeń medycznych. Przedsiębiorstwo to konstruuje także

piece spalające odpady ze szpitali, laboratoriów, gabinetów lekarskich. Chciałoby ono uzyskać kontrakt na instalowanie tego typu urządzeń na terenach wyznaczonych przez władze stanowe. Stąd zainteresowanie mojego klienta ustawą popieraną przez senatora Dineena.

Jako lobbysta reprezentujący interesy AMT chciałbym spotkać się z członkami komisji i dać im pewne istotne informacje, zanim ustawa zostanie przegłosowana w komisji i przekazana dalej.

- Rozumiem - odparła Michelle. I rzeczywiście rozumiała go doskonale. Jeśli wysiłki Steve'a zostałyby uwieńczone sukcesem, otrzymałby od swojego klienta wysoką premię jako dodatek do ustalonego wcześniej wynagrodzenia. Wysokość premii wzrastała w zależności od tego, czy dana kwestia została jedynie przedstawiona komisji parlamentarnej, przegłosowana w niej, czy też władze stanowe wydały odpowiednią ustawę. Steve oraz jego partnerzy byli spółką niezależną, z której usług korzystali klienci potrzebujący nie stałych lobbystów, a jedynie pośredników do załatwiania konkretnych spraw.

- Słyszałem, że komisja ma spotkać się w przyszłym tygodniu - ciągnął Steve. - Czy mógłbym zaprosić was na lunch dzień wcześniej? Jeśli komuś nie będzie odpowiadał ten termin, możemy go zmienić. Z przyjemnością dostosuję się do was. - Uśmiechnął się.

Otwarcie przedstawiał swoje zamiary i przyjęty tok postępowania. Michelle stwierdziła, że jego sposób bycia stanowi miłą odmianę. Zazwyczaj lobbyści, uprzedzająco grzeczni, starali się udawać, że oficjalne spotkania są czymś więcej niż tylko interesem. Ona sama zawsze wyraźnie postrzegała granicę pomiędzy kontaktami służbowymi i przyjacielskimi.

Czemu więc zapomina o niej teraz? Uświadomiła sobie nagle, że uśmiecha się do Steve'a Saraceni tak, jak uśmiecha się kobieta do mężczyzny, który się jej podoba. Przyglądała się mu z głową przechyloną lekko na bok, spod opuszczonych rzęs, z rozchyłonymi wargami.

- Przekażę to zaproszenie pozostałym członkom komisji - oznajmiła szybko. Tak było znacznie lepiej. Właśnie takim tonem rozmawiała z innymi lobbystami.

- Dziękuję, Michelle. Będę czekał na wiadomość.

Gdy Steve Saraceni wyszedł, Michelle przesunęła dłonią po swoim starannie zaplecionym warkoczu, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Jej wszystkie zmysły zdawały się porażone, jakby Amor zamiast strzał zaczął nagle używać pocisków balistycznych.

Chwilę później do gabinetu Michelle wpadły Leigh Wilson i Claire Collins, które także pracowały w sztabie Eda Dineena.

- Kim jest ten facet? - wykrzyknęła Leigh. - Podniosłam oczy i oto stanął przede mną grecki bóg!

- Rzeczywiście zaniemówiła - potwierdziła Claire. - Leigh spojrzała na niego, otworzyła usta i nie była w stanie wypowiedzieć nawet jednego słowa.

- Nie udawaj, Claire, że na tobie ten facet nie zrobił żadnego wrażenia. Jesteś mężatką, nie trupem. A więc, czego on chciał? Cokolwiek by to było, zgłaszam swój udział.

- Jest lobbystą - oznajmiła Michelle. - Chce zaprosić naszą komisję na lunch w przyszłym tygodniu i opowiedzieć nam o piecach spalających niebezpieczne odpady.

Claire jęknęła. Leigh wydawała się rozczarowana.

- Niebezpieczne odpady? To okropne! Jednak był tak wspaniały, że może potrafi sprawić, by i to wydało się romantyczne - Leigh nie dawała za wygraną. - Nie miał obrączki. Gdyby był żonaty, żona na pewno nie wypuściłaby go bez niej. Jest więc wolny! I ja też!

- Podobnie jak Michelle - zauważyła Claire. - I to ona zajmuje się niebezpiecznymi odpadami i pójdzie z nim na lunch.

Gdy Steve wrócił do biura, jego kuzynka Saran rozmawiała właśnie przez telefon. Chichotała, malując jednocześnie paznokcie. Steve westchnął głośno.

- Skończ rozmowę, Saran. Dziewczyna jęknęła, lecz posłuchała go.
- Umawialiśmy się z Heather na koncert Ugotowanych w Oleju - oznajmiła z zapalem. - Koleżanka Heather zna ich perkusistę. Zostaniemy przedstawione zespołowi!
- Poznanie Ugotowanych w Oleju, oto spełnienie marzeń - skomentował sucho Steve.
- Jesteś za stary, by móc ich docenić. Ty i twoje pokolenie utknęliście w przeszłości z Rolling Stonesami i podobnymi im dinozaurami.
- W żadnym wieku nie potrafiłbym docenić heavy metalowej muzyki w wykonaniu Ugotowanych w Oleju, Saran. Tak się złożyło, że mam dobry gust.
- Bynajmniej, jeśli chodzi o muzykę i... kobiety - nie chciała dać za wygraną Saran. - Miałam okazję poznać niektóre z twoich panienek. Przy nich nawet ja wydaję się inteligentna! Nic dziwnego, że nie chcesz się ożenić. Te idiotki tak się nadają na żony jak...
- ... jak Ugotowani w Oleju na muzyków - dokończył Steve z triumfem w głosie, po czym zniknął za drzwiami swego gabinetu.

Siedząc przy biurku, Steve zdał sobie nagle sprawę, że od lat umawia się z dziewczynami w wieku Saran i Heather. Uświadomienie sobie tego faktu przeraziło go. Saran była od niego o czternaście lat młodsza. Zawsze uważał ją za dziecko. Czy więc dziewczyn w jej wieku nie powinien również traktować jak dzieci?

Kiedyś młode, dwudziestoletnie kobiety były jego rówieśniczkami. Teraz stał się facetem podrywającym małoletnie pannie.

Całkiem podświadomie jego myśli powędrowały ku Michelle Carey. Nie była nastolatką, choć wydawała się młoda jak na zajmowane przez siebie stanowisko. Poważnie podchodziła do pracy i podkreślała to ubiorem. Widział ją dwa razy, dziś i tydzień wcześniej, gdy przeprowadzał rekonesans w sztabie Dineena. Zauważył, że Michelle miała na sobie praktyczne, ciemne kostiumy, które wyglądały jak skopiowane z magazynu „Ubranie dla Sukcesu” wydawanego przed kilkunastu laty. Steve nienawidził tego stylu. Kobiety powinny ubierać się jak kobiety: w miękkie kolorowe tkaniny i podkreślające figurę stroje. Wyobraził sobie Michelle w czerwonej, skórzanej mini i miękkim, obszernym swetrze. Poczul, że ogarnia go podniecenie.

To przypomniało mu, że coś jeszcze charakteryzowało Michelle. Niezależnie od stroju wydawała się niezwykle atrakcyjna. Miała gęste blond włosy, które z chęcią oglądałby rozpuszczone... lub rozsypane na poduszce, kiedy obejmowałby Michelle w zaciszu sypialni. Wyobraził sobie jej niebieskie oczy rozognione pożądaniem. Pragnął poznać smak miękkich, kuszących ust. Przepyszne, smukłe ciało Michelle dręczyło jego wyobraźnię. Nawet ponure, służbowe mundurki, które z takim upodobaniem nosiła, nie były w stanie zatuszować kształtności jej figury.

Ta dziewczyna pociągała go. A dla Steve'a Saraceniego atrakcyjność seksualna oznaczała zwykle początek romansu. Wszystko świadczyło o tym, że i teraz może stać się podobnie. On także wydał się Michelle atrakcyjny, wiedział o tym. Potrafił właściwie odczytać spojrzenie jej niebieskich oczu, a widział w nich fascynację i pożądanie. Był zbyt doświadczony, by nie dostrzec tych niezwykle subtelnych sygnałów najbardziej powściągliwej z kobiet. W normalnych okolicznościach od razu przystąpiłby do działania. Telefon. Strategicznie przemyślany drobny upominek. Zaproszenie na kolację. Świece, wino, słodczyce i kwiaty - może było to stereotypowe, lecz nigdy jeszcze go nie zawiodło. Był wirtuozem, gdy chodziło o

pielęgnowanie iskiarki wzajemnej atrakcyjności i wzmaganie napięcia seksualnego. Kiedy umiejętnie podsycił płomień, jego flirty zawsze szybko kończyły się w sypialni.

Tym razem jednak było inaczej; ona była inna. Zawsze bardzo uważał, by nie nawiązywać bliższych stosunków z kobietami, z którymi musiał utrzymywać również kontakty zawodowe. Taka znajomość niosła ze sobą ryzyko poważnego konfliktu interesów, który mógł zrujnować kariery im obojgu. Istniało jednak jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdy kobieta i mężczyzna o podobnym wykształceniu, zainteresowaniach i rodzaju pracy nawiązywali romans. Małżeństwo!

Steve wiele razy był świadkiem takiego obrotu rzeczy i poprzysiągł sobie, że coś podobnego nigdy mu się nie przydarzy, a przynajmniej nieprędko. Małżeństwo stałoby się przeszkodą w jego życiu, pracy, grze w golfa!

Nie było mu trudno wytrwać w tym postanowieniu. Podziwiał kobiety pracujące w świecie polityki, szanował je i lubił ich towarzystwo. Nie pociągały go jednak. Michelle Carey sprawiła, że zaczął powątpiewać o słuszności swego postanowienia, by nie mieszać pracy z przyjemnością. Ta idea wydała mu się nagle nie lekkomyślna, lecz bardzo kusząca. Pociągało go nawet zawarte w niej niebezpieczeństwo.

Nie sięgnął jednak od razu po telefon, by zapoczątkować nowy flirt. Steve Saraceni był zimny i wyrachowany, nie pozwalał, by jego postępowaniem kierował impuls czy namiętność.

Zdecydował, że odczeka jakiś czas, by przekonać się, czy zafascynowanie Michelle Carey nie okaże się jedynie przelotnym kaprysem. Postanowił poczekać do oficjalnego lunchu i potem dopiero osądzić, czy jest jeszcze zainteresowany tą dziewczyną.

Zadowolony z siebie, wykręcił numer klienta, by przekazać mu najświeższe informacje na temat reakcji stanowego kongresu na jego ostatnią propozycję. Szybko zapomniał o Michelle, kobietach i seksie.

Dopiero w następnym tygodniu komisja mogła przyjąć zaproszenie Steve'a na lunch.

Podjeżdżał ich wystawnie, w Rillo, jednej z najelegantszych restauracji Harrisburga. Steve okazał się idealnym gospodarzem, z każdym z członków komisji potrafił rozmawiać na wiele różnych tematów. Jego erudycja była prawdziwie imponująca. Książki - znał najnowsze bestsellery; filmy - widział wszystkie godne uwagi; i sport - mógł dyskutować o każdej dyscyplinie i każdej drużynie; był prawdziwą kopalnią informacji na temat nadchodzących rozgrywek pucharowych. Co więcej, miał nawet bilety na decydujący mecz tego sezonu.

Michelle nie siedziała przy stole obok Steve'a, który zajął miejsce w pobliżu najważniejszych i najbardziej wpływowych członków komisji, do których najwyraźniej jej nie zaliczał. W pewnym jednak momencie dziewczyna zdała sobie sprawę, że przez cały niemal czas obserwuje Saracenię i przysłuchuje się jego słowom. Podziwiała zręczność, z jaką prowadził rozmowę na temat interesującej go ustawy. Argumenty Steve'a przemawiające za wybraniem jego klienta wydawały się tak logiczne, praktyczne i korzystne, że nierozsądnie byłoby odrzucić tak korzystną ofertę. Nie złożono jednak żadnych obietnic i nie wyglądało zresztą na to, by Steve się ich spodziewał.

W żaden też sposób nie wyróżnił Michelle. Cała jego uwaga skupiona była na najważniejszych członkach komisji. W pewnym sensie Michelle była z tego zadowolona. Wciąż pamiętała, w jak zawstydzająco dziecinny sposób zachowywała się w czasie ich pierwszego spotkania. Z drugiej strony czuła jednak lekkie rozczarowanie.

Czego się spodziewałaś? zadrwiła z samej siebie. Że mężczyzna pokroju Steve'a Saracenię, opanowany, pewny siebie, oszałamiająco przystojny i dobry w swoim zawodzie,

marnowałby własną szansę, czas, za który płacił - po to, by zajmować się nią? Była zwykłym członkiem komisji. Bez prestiżu, wpływów, ani nawet prawa głosu. Dlaczego Steve Saraceni miałby poświęcać jej swoją uwagę? Dlaczego oczekiwała tego?

I dlaczego traktuje ją jak powietrze?

Michelle wciąż czuła się odrobinę zawiedziona, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. W biurze senatora Dineena wszyscy odbierali telefony, z wyjątkiem, oczywiście, samego senatora.

- Michelle, tu Steve Saraceni.

Nie musiał przedstawiać się. Od razu poznała jego głos. Wstrzymała oddech.

- Słucham?

- Dobrze wszystko wypadło, jak sądzisz? - spytał z zapalem. W radosnym tonie jego głosu pobrzmiwała nadzieja. Taka otwartość ze strony Steve'a wydała się Michelle czarująca. Żadnych fałszywych słówek, od razu przeszedł do sedna sprawy.

Uśmiechała się, odpowiadając mu.

- Wszyscy zgadzają się, że znakomicie potrafiłeś przedstawić propozycje swojego klienta w zrozumiałym dla laika sposób. Wydałeś się godny zaufania, a twoje warunki rozsądne.

Czy nie powiedziała zbyt wiele? Czy powinna była informować go o reakcji komisji?

Rozmawiała z nim, jakby był jej przyjacielem. A ona jego doradcą...

Wiarygodność. Był to największy komplement dla lobbyisty.

-Jestem zadowolony. Dziękuję, Michelle. - Urwał na moment. - Przepraszam, że nie mogłem poświęcić ci zbyt wiele uwagi podczas lunchu. Właściwie, to chyba wcale nie miałem okazji z tobą porozmawiać. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Korporacja AMT płaciła za ten czas.

- Oczywiście. - W jej słowach brzmiał niepokój. Dlaczego zadzwonił?

- Z niecierpliwością oczekiwałem kolejnego spotkania z tobą - kontynuował Steve. - Szczerze mówiąc, w ciągu ostatnich dwóch tygodni kilka razy z dużym trudem powstrzymałem się, by nie zadzwonić do ciebie. Nie chciałem stawiać cię w niezręcznej sytuacji lub pozwolić, byś sądziła, że chcę wykorzystać znajomość z tobą do celów zawodowych.

Cóż, to było prawdą, uświadomił sobie nagle Steve ku własnemu zaskoczeniu. Do tej pory sądził, że nie kontaktował się z Michelle, bo tak było wygodniej dla niego. Teraz okazywało się, że kierowały nim inne, bardziej altruistyczne pobudki. Że o jego postępowaniu zdecydował wzgląd na nią.

Michelle poczuła ucisk w żołądku.

- Nie pomyślałabym tak, Steve - odparła cicho.

Odchrząknął. Stawało się to dość cikliwe. Czas było ująć znaczenia całej sprawie jakąś inteligentną, dowcipną uwagę. Miał w pamięci wiele takich formułek przydatnych w każdej sytuacji. Może z wyjątkiem tej właśnie okazji...

- Cieszę się - ze zdziwieniem usłyszał własny głos. Tę uwagę trudno byłoby uznać za inteligentną lub dowcipną. Pomocy, pomyślał.

Michelle pośpieszyła mu na ratunek.

- Nie wiedziałam, że studiowałaś w Penn State - powiedziała, zmieniając temat rozmowy. -Ja też się tam uczyłam.

- Wiem - odparł Steve. - Widziałem dyplom w twoim gabinecie. Nie znałaś przypadkiem mojej siostry, Jamie Saraceni? Też studiowała w Penn State, na wydziale bibliotekoznawstwa.

Wyszła za mąż, a miesiąc temu urodziła chłopca. Malec nazywa się Matthew Albert Marshall. Dobry Boże, ale się rozgadałem! Co się ze mną dzieje? skrzywił się Steve. Nie miał zwyczaju

prowadzić długich monologów opartych na luźnych skojarzeniach. Nie odniósł jednak wrażenia, by Michelle miała mu to za złe. Jej odpowiedź wyraźnie o tym świadczyła.

- Nowy siostrzeniec, to miłe." Nie, nie znałam twojej siostry, lecz Penn State to ogromna uczelnia.

- Zatloczona do granic możliwości - zgodził się Steve. - Pamiętasz napisy na ścianach księgarni na początku każdego semestru?

- Nigdy ich nie zapomnę! A napisy w stołówce? Niektóre rzeczy w Penn State nie zmieniały się od lat. Michelle i Steve z przyjemnością snuli wspomnienia o swojej alma mater. Ich rozmowa trwała ponad pół godziny. Potem Claire zjawiała się w gabinecie Michelle.

- Nie chcę ci przeszkadzać, lecz zamierzałaś przejrzeć te dokumenty, zanim pokażemy je Edowi, a on będzie tu za piętnaście minut.

Steve'owi również przerwała Saran.

- Steve, jest tutaj ten facet, który czeka na ciebie już od dwudziestu minut i zaczyna się złościć. Chcesz się z nim zobaczyć, czy mam go spławić?

- O, matko, dokumenty! - wykrzyknęła Michelle.

- Dobry Boże! Zapomniałem o spotkaniu z głównym doradcą sztabu wyborczego! - przeraził się Steve. - Saran, nie spławiaj go!

- Chyba straciliśmy poczucie czasu - stwierdziła Michelle z zakłopotaniem.

- A ja miałem pretensje do mojej kuzynki, że rozmawia godzinami przez telefon!

Pomimo to oboje nie mieli wcale ochoty kończyć rozmowy.

- Może moglibyśmy... - Michelle odezwała się w momencie, gdy Steve zaczął:

- Czy chciałabyś...

Oboje zamilkli i roześmiali się zakłopotani.

- Ty pierwsza - powiedział Steve.

- Nie, ty zacznij - nalegała Michelle.

- Miałem zamiar spytać, czy nie chciałabyś dokończyć tej rozmowy kiedyś przy kolacji?

- Tak - odpowiedziała szybko. Może trochę za szybko, lecz nie miało to dla niej znaczenia.

- Wiem, że to krótki termin, ale czy nie moglibyśmy się spotkać w piątek wieczorem? -Dokonał w myśli błyskawicznych kalkulacji. Oczywiście był już umówiony; wszystkie piątkowe wieczory miał zajęte. Sobotnie też. Nigdy jednak odwołanie randki nie sprawiało mu kłopotu, gdy nie miał na nią ochoty.

- Piątek mi odpowiada - odparła Michelle. Randka w piątkowy wieczór była dla niej teraz rzadkością. Zwykle wypożyczała kasetę wideo i oglądała film, siedząc wraz z kotem na miękkiej kanapie, i odpoczywała po sześćdziesięciogodzinnym tygodniu pracy.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie o siódmej - powiedział Steve. Oznaczało to, że musi wymazać imię zapisane wcześniej w kalendarzyku, ale to nie stanowiło żadnego problemu. Spotkania towarzyskie zawsze wpisywał ołówkiem. Ołówek oznaczał wolność, możliwość zmian; atrament symbolizował stałość, oddanie i obowiązek.

Dopiero gdy zapisał już imię Michelle przy odpowiedniej dacie, zdał sobie sprawę, że tym razem użył pióra. Szybko zlekceważył jednak ten fakt, nie dopatrując się w tym żadnego znaczenia. Nigdy nie przywiązywał wagi do freudowskiej teorii czynności pomyłkowych. Wydawała mu się ona równie mało wiarygodna jak wróżenie z ręki lub czytanie z fusów. Albo łańcuszek szczęścia. Steve skrzywił się wrzucając do kosza zmiętą kartkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Steve pojawił się przed drzwiami Michelle o siódmej trzynastej. Było to starannie obmyślane posunięcie: czasami lepiej się trochę spóźnić niż stawić się o wyznaczonej godzinie.

Michelle miała tego dnia wiele pracy. Musiała zostać w biurze aż do szóstej trzydzieści, po czym, złorzecząc na uliczne korki, wpadła do domu dwie minuty po siódmej, szczęśliwa, że Steve jeszcze nie przyszedł.

- Witaj! Przepraszam, że nie jestem jeszcze gotowa - przywitała go z roztargnieniem. -

Musiałam zostać dłużej w biurze. Dzisiaj były też, oczywiście, straszne korki, ponieważ akurat się śpieszyłam. Jeśli masz ochotę, weź sobie coś do picia, a ja spróbuję szybko się przebrać - mówiąc to, dziewczyna biegła w kierunku łazienki.

Steve stał całkiem zdezorientowany.

Michelle także się spóźniła! Zdał sobie nagle sprawę, że dla kobiet, z którymi umawiał się zazwyczaj, jego pojawienie się było wydarzeniem dnia. A może nawet tygodnia. Te dziewczyny nie interesowały się swoją pracą, a randka oznaczała dla nich początek prawdziwego życia.

Michelle lubiła swój zawód i traktowała go poważnie. Z własnego doświadczenia wiedział, że jeśli została dłużej w pracy, jej uwaga bez reszty skupiona była na wykonywanym zadaniu, a nie na jego osobie.

Takie więc były wady umawiania się z kobietami oddanymi własnej karierze. Nic dziwnego, że zawsze wolał trzymać się od nich z daleka. Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, Steve poszedł do kuchni. Michelle zaproponowała mu drinka, którego miał sobie sam przyrządzić i który mógł składać się z dietetycznej coli, soku i mleka. Żadnego importowanego piwa.

Żadnego wina czy innego alkoholu. Co za doskonały początek wieczoru! Z lekkim niesmakiem nalał sobie szklankę soku jabłkowego.

Z kieszeni marynarki wyjął małego pluszowego lewka ubranego w czapkę z literami PSU na daszku. Była to maskotka uniwersytetu Penn State. Kupił tę zabawkę po rozmowie z Michelle. Ustawił ją teraz na blacie kuchennym, by sprawić gospodyni niespodziankę.

Jednak to Steve miał przeżyć chwilę zaskoczenia, gdy nie wiadomo skąd wyskoczył niespodziewanie kot syjamski, po czym równie nagle zniknął, unosząc ze sobą maskotkę.

- Hej! To nie dla ciebie - zawołał cicho Steve, uważając, by nie podnieść głosu. Nie wypadało, by podczas randki łajał kota kobiety, z którą był umówiony.

Burton, kot, był jednak niezwykle uparty. Ukryty bezpiecznie pod kanapą, ścisnął zębami swoją ofiarę, miaucząc przy tym żałośnie.

Steve skrzywił się. Znał koty. W domu Saracenich w New Jersey mieszkało ich osiem. Były mistrzami w ucieczce i ukrywaniu się. Nie miał szans odzyskać maskotki, dopóki Burton sam nie zdecyduje się jej oddać.

Kot wciąż głośno miauczał i Michelle, bez pantofli, wybiegła z łazienki.

- Biedny Burton, biedny chłopczyk - przemawiała pieszczotliwie. - Co się stało? Gdzie jesteś?

- Jest pod kanapą. Spojrzył tylko na mnie i uciekł - oznajmił z przekąsem Steve.

- Burton jest bardzo nieśmiały przy obcych - próbowała usprawiedliwić swojego ulubieńca Michelle. Wsparta na rękach klęczała przy kanapie, starając się namówić kota do opuszczenia kryjówki.

Steve zerknął na Michelle, a potem nie mógł już oderwać od niej wzroku. Po raz pierwszy tego wieczoru miał okazję przyjrzeć się jej dokładnie i zdecydowanie spodobało mu się to, co zobaczył. Michelle miała na sobie obcisłą, czarną minisukienkę, z długimi rękawami i głębokim

dekoltem. Ozdabiające materiały kolorowe dzęty skrzyły się w świetle lampy. Efekt był olśniewający, lecz Steve z większym jeszcze podziwem przyglądał się jej długim, szczupłym nogom obciągniętym czarnymi pończochami. Zatrzymał wzrok na jej tyłeczku, okrągłym i wypiętym, uwydatnionym ponętnie przez pozycję, w jakiej się znajdowała, i rozciągliwy materiał sukienki. Uśmiechnął się.

- Chodź, Burton - Michelle starała się nakłonić kota do wyjścia z kryjówki, lecz bez skutku. - Ma tam coś, co gryzie zawzięcie.

- Burton upolował sobie lwa Nittany - oznajmił sucho Steve. - Czyżby był wrogiem Penn State?

Wyraźnie zmieszana, Michelle wstała, obciągając sukienkę.

Steve nie przestawał się uśmiechać. Ta dziewczyna była naprawdę oszałamiająca!

- Przyniosłem ci maskotkę, lecz Burton spostrzegł ją pierwszy i porwał do swego legowiska - wyjaśnił Steve. - Zdaje się, że właśnie ją pożera.

- Och! - Przez chwilę Michelle wydawała się być zakłopotana, a potem zaczęła się śmiać. Patrzył na nią zdumiony. Nigdy nie widział Michelle śmiejącej się w ten sposób. Dźwięk tego śmiechu sprawił, że ogarnęło go dziwne wzruszenie.

- Cóż, jestem ci wdzięczna za pamięć, a Burton, z pewnością, za upominek - powiedziała Michelle i raz jeszcze wyszła z pokoju. - Włożę tylko buty, wezmę torebkę i możemy iść.

Wróciła chwilę później, w czarnych zamszowych pantoflach na wysokich, wąskich obcasach.

- Chyba nie jestem zbyt dobrą gospodynią. Odkąd przyjechałeś, cały czas biegam tylko po mieszkaniu.

Zdaje się, że więcej uwagi poświęciłam kotu niż Steve'owi, pomyślała ponuro Michelle. Jako pani domu jestem do niczego. Chciała zatrzeć jakoś złe wrażenie.

- To takie sympatyczne, że pomyślałeś, by przynieść...

- ... prezent dla kota? - dokończył Steve. - Następnym razem przyniosę coś dla ciebie. I naprawdę nie musisz się usprawiedliwiać - dokończył szarmancko. - Zdecydowanie warto było poczekać.

Michele splonęła się.

- Dziękuję. - Podziw, jaki słyszała w jego głosie, ciepło jego spojrzenia sprawiły, że poczuła się piękna. Odwróciła się, by włożyć podawany jej przez Steve'a płaszcz. Kiedy pochyliła lekko do przodu głowę, jej włosy rozsypały się na ramionach. Steve patrzył na aksamitną skórę karku dziewczyny, czując przejmujący go dreszcz. Wiedziony impulsem, odłożył płaszcz, przyciągając Michelle do siebie. Poczł delikatny zapach jej perfum i na chwilę przysło jego zwykłe opanowanie. Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, dotknął ustami jej karku.

Michelle zadrżała.

Delikatna pieśczoła podrażniła wrażliwe nerwy jej skóry, gdy mocne palce mężczyzny wędrowały po jej ramionach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak atrakcyjna i godna pożądania.

Chwilę potem stali już zwróceni twarzami do siebie. Czuła wzrok Steve'a przesuwający się po jej ustach, piersiach, nogach. Oceniał ją i podziwiał. Przybliżył głowę ku twarzy Michelle i jej usta rozchyliły się w oczekiwaniu. Sposób, w jaki patrzył na nią, obejmował, był niezwykle podniecający. Pieścił ją mężczyzna doświadczony i pewny siebie, mężczyzna, który wiedział, jak sprawić przyjemność kobiecie.

Może trochę zbyt doświadczony i zbyt pewny siebie, podpowiedział zimny głos rozsądku.

Michelle, potrząsając lekko głową, odepchnęła Steve'a.

- Nie sądzę, byśmy...
 - Oczywiście, rozumiem - szybko odparł Steve. Zmieszany zmarszczył brwi. Dotknął jej i omal nie stracił głowy. Najwyższy czas wziąć się w garść.
 - Wiem, jak bardzo kobiety nie lubią mieć rozmazanego makijażu już na początku wieczoru. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.
 - Rozmazany makijaż? - powtórzyła Michelle. Co więcej, nie usłyszała żadnych przeprosin, które mogłaby przyjąć. - Myślisz, że dlatego... - poczuła się obrażona.
 - Mój makijaż nie ma z tym nic wspólnego. Nawet gdybym w ogóle nie była umalowana, przerwałabym to, ponieważ... prawie nic o tobie nie wiem, a nie mam zwyczaju... całować się z mężczyznami, których nie znam.
 - A co z tymi, których znasz?
 - Słucham?
 - To tylko żart - wyjaśnił pośpiesznie. - Tak czy owak nie całowaliśmy się.
- Michelle splonęła się.
- Ale tak by się stało, gdybym nie...
 - Może tak, a może nie - przerwał jej, wzruszając ramionami. - Ja także mógłbym opanować się w pewnym momencie.
 - Och, oczywiście. Z troski o mój makijaż - zadrwiła.
- Steve westchnął.
- Wiem, że sprzeczka to dobry sposób na rozładowanie napięcia seksualnego, ale nigdy za nim nie przepadałem. Nie lubię się kłócić.
 - Ja również nie. - Michelle patrzyła na niego zbита z tropu. - Czy... czy to właśnie robiliśmy?
 - Obawiam się, że tak. I przepraszam za tę uwagę o kobietach i makijażu. Była złośliwa.
 - A nawet obraźliwa - powiedziała wolno Michelle. - No, no, jesteś naprawdę dobry.
- Zabrzmiało to tak szczerze. Sądziłam, że te słowa po prostu ci się wymknęły.
- To jeden z moich talentów. W pewnym sensie jest konieczny w moim zawodzie.
 - Tak, umiejętność przedstawiania starannie przemyślanych uszczypliwości jako zwykłych potknięć. - Michelle wydawała się poruszona.
 - Teraz zastanawiasz się z pewnością, czy warto dla mnie tracić czas - podsumował Steve. - Znam to uczucie. Miałem podobne wątpliwości w związku z tobą, kiedy przy powitaniu nie omdlewałeś z radości.
- W spojrzeniu Michelle odmalowało się zdumienie.
- Czy tak właśnie witają cię kobiety, z którymi się umawiasz?
 - Powiedzmy po prostu, że... tak.
 - Och. - Jego szczerłość była rozbrajająca. Michelle odchrząknęła. - Najwyraźniej oboje inaczej wyobrażaliśmy sobie dzisiejszy wieczór i...
 - Michelle, ja zdecydowałem, że bez wątpienia warta jesteś czasu i zachodu - przerwał jej.
 - Choć nie zdradzam objawów zachwyty i nie mdleję z radości na twój widok? - Kąciki jej ust drgnęły leciutko.
 - Może czas na zmiany - zaśmiał się Steve.
- Był też najwyższy czas, by dowiedział się, dlaczego tak pociągał go jej ostrożny uśmiech, czemu tak intrygowała go niechęć Michelle, by ulec jego urokowi. Nie był typem mężczyzny, który lubił wyzwania i kobiety trudne do zdobycia. Jego praca pochłaniała wystarczająco dużo energii i nie chciał, by romansowanie wiązało się z dodatkowym wysiłkiem.
- Nie zrezygnujemy chyba z naszych planów na wieczór? - przerwał milczenie Steve, ujmując

łokieć dziewczyny.

Jego niezwykle delikatny dotyk sprawił, że Michelle ogarnęła fala zmysłowego gorąca. Musi bardzo uważać przy tym zbyt przystojnym mężczyźnie, zepsutym i rozpieszczonym przez niezliczone kobiety mdlejące z radości na jego widok.

Podjęła już jednak decyzję. Zawsze zastanawiała się, czy kiedykolwiek spotka mężczyznę, który zainteresowałby ją w tym samym stopniu jak jej praca. Steve Saraceni spełniał ten warunek. Wart był jej czasu i zachodu.

Właściciel restauracji znał Steve'a i osobiście zaprowadził ich do stolika. Miękkie segmenty ustawione były tak, by tworzyły wieżę, a koronkowe zasłonki zapewniały intymność. Na stole płonęła świeca, a w tle rozbrzmiewała melodia rzewnej ballady. Było to idealne miejsce na romantyczne sam na sam.

Może nawet zbyt idealne. Gdy Steve pochylił się i przykrył ręką jej dłoń, Michelle spokojnie, lecz zdecydowanie cofnęła rękę pod pretekstem poprawienia serwetki. Łatwo byłoby zapomnieć się w tej romantycznej atmosferze, postanowiła jednak nie stracić głowy. Nie znaczyło to, oczywiście, że nie potrafiła docenić dobrego jedzenia czy towarzystwa Steve'a.

- Uwielbiam morskie przysmaki - odezwała się, wdychając egzotyczny zapach potraw.

- Hm, ja też - potwierdził Steve. - Nawet moja babcia chwali włoskie specjały Alfreda.

Zabrałem ją tutaj kiedyś, gdy przyjechała odwiedzić mnie i Saran.

Michelle podobał się jego uśmiech, gdy opowiadał o babci.

- Czy twoja babcia pochodzi z Włoch? Steve kiwnął głową.

- Tak, urodziła się w San Vito nad Adriatykiem. Jej rodzina wyemigrowała do Stanów, kiedy babcia miała dwa lata. Choć upłynęło tyle czasu, babcia przysięga, że pamięta jeszcze swoje przybycie do Ameryki.

- Może naprawdę pamięta. Ja też mam kilka wspomnień z okresu, kiedy miałam dwa lata. Są zamglone i wyrwykowe, ale niektóre sceny zapamiętałam dokładnie. -Michelle ścisnęła mocno trzymaną na kolanach serwetkę. - Rodzice rozwiedli się wtedy. Pamiętam, jak siedziałam na schodach z moim starszym bratem i siostrą, obserwując odejście ojca. Siostra wzięła mnie na ręce i zaniósła do swojego łóżka. Płakała, a ja byłam tym zdziwiona. Chyba nie rozumiałam, co się dzieje.

Steve zmarszczył brwi.

- Rozwód to okropne doświadczenie dla dzieci. Moi dwaj siostrzeńcy bardzo to przeżyli, gdy Cassie rozwiodła się z ich ojcem. To nie była wina mojej siostry - dodał szybko. - Jej mąż stwierdził, że ma dość małżeństwa i chce odejść. Cassie z dziećmi wróciła do naszego rodzinnego domu. - Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. - Cała rodzina uważa jej byłego męża za antychrysta - przerwał na moment - lecz według mnie to nie jest zły facet. Po prostu nie nadawał się do małżeństwa. Odchodząc, oddał Cassie i dzieciom przysługę. Bez niego są szczęśliwsi i lepiej się im powodzi.

- To z pewnością jego egoistyczna argumentacja -mruknęła Michelle. - Odejść jest znacznie łatwiej niż pozostać, starać się wydorosnąć i naprawić wszystko, co było złe.

Jej uwaga rozżłościła Steve'a. Choć nie lubił szwagra, odkąd ten zranił jego siostrę, Steve miał niejasne poczucie, że on sam nie sprawdziłby się lepiej w roli męża i ojca. Uważał się za człowieka kochającego wolność i niezależność, który nie zniósłby żadnych ograniczeń. Nigdy jednak nie nazwałby siebie niedojrzałym egoistą.

- Uf, teraz przypomniałem sobie, dlaczego nigdy nie poruszam na randkach poważnych tematów. Są zbyt emocjonalne i kontrowersyjne.

- Co z pewnością położyłoby kres omdleniom, zachwytom, ślinieniu się i innym tego typu reakcjom, jakich oczekujesz od kobiet.

Steve wydawał się zaskoczony. Kobiety nie bywały wobec niego złośliwe. Oczywiście rzadko umawiał się z kimś tak inteligentnym jak Michelle.

- Omdleniom i zachwytom - poprawił ją, uśmiechając się wbrew woli. W rzeczywistości podobała mu się nawet uszczypliwość Michelle. - Dziewczyny mdleją i rozplývają się z zachwytu. Nie znoszę natomiast ślinienia się.

Michelle uniosła w górę oczy.

- Nazwij to, jak chcesz. Ale masz rację, że są tematy, których powinno unikać się przy kolacji.

Na przykład złe wspomnienia z dzieciństwa. - Michelle rozejrzała się. - Spójrz, pada śnieg. -

Jej głos i uśmiech były bardzo radosne. - Nie przypominam sobie, by zapowiadał to któryś z naszych meteorologów. I nie mów, że znowu się pomylili! Pamiętam, jak w zeszłym roku zapowiadali zamieć śnieżną, a okazało się, że był to najśnieźniejszy dzień zimy!

Steve wiedział, że teraz nadeszła jego kolej, by opowiedzieć zabawną anegdotę o pogodzie.

Michelle zachowywała się tak, jak wyobrażał to sobie wcześniej. Uśmiechała się radośnie, wypowiadając błahe ogólniki. Czemu więc miał zupełnie niezrozumiałą ochotę, by powrócić do ich wcześniejszej rozmowy, która była zdecydowanie zbyt emocjonująca i osobista? Nie miał najmniejszej potrzeby, by więcej wiedzieć o Michelle, żadnego powodu, by zastanawiać się...

- Co się stało, kiedy odszedł wasz ojciec? - zapytał niespodziewanie.

Michelle patrzyła na Steve'a, jakby nagle wyrósł mu na twarzy drugi nos.

- Sądziłam, że postanowiliśmy zmienić temat.

- Cóż, ja...

- Nie ma potrzeby, byś z uprzejmości udawał zainteresowanie moją odległą przeszłością - stwierdziła sucho.

- Nie udaję zainteresowania. Naprawdę mnie to ciekawi. Dlaczego twoi rodzice rozeszli się? Czy twój tata zdecydował, że nie jest stworzony na męża i ojca, podobnie jak mój były szwagier?

- Och, nie. To nie było to - zaprzeczyła szybko. - Tata był zawodowym wojskowym, a mama nienawidziła ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Tata nie umiał zdobyć się na to, by zmienić zawód.

- Mmm, to trudny problem. Nie wyobrażam sobie, bym potrafił rzucić pracę dla czegokolwiek lub kogokolwiek.

- Ja również. Nigdy nie winiłam ojca za to, że wybrał wojsko. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie mówmy już o historii mojej rodziny. Skoro rozmawiamy o przeszłości, twoja kolej, by opowiedzieć więcej o Saracenich.

- Nie ma wiele do opowiadania. Moi rodzice urodzili się i wychowali w Merlton. Pokochali się jeszcze w liceum i do tej pory są razem. Mieszka z nimi babcia, a także Cassie i jej dwoje dzieci. Moja druga siostra, Jamie, mieszka zaledwie dwadzieścia minut drogi od nich z mężem i nowo narodzonym dzieckiem. - Wzruszył ramionami. - Lubią takie życie i jest im dobrze. Ale to bycie razem mnie przyprawia o klaustrofobię. Już jako nastolatek chciałem się od tego wyzwolić, mieć więcej, osiągnąć więcej, rozumiesz?

- Nie. - Michelle potrząsnęła głową. - Ja zawsze o tym marzyłam. Cała rodzina razem w jednym miejscu, pewność, że zawsze możesz na nią liczyć. Moja rodzina jest rozproszona po całych Stanach i zawsze tak było.

Pragnęła więc odtworzyć to, co utraciła dawno temu. Steve zastanawiał się, czy nie lepiej

byłoby, gdyby wymyślił wtedy historyjkę o pogodzie. Zamiast tego teraz zdecydował się opowiedzieć dowcip i rozmowa naturalnie zeszyła na mniej osobiste tematy. Okazało się, że mają wielu wspólnych znajomych.

- To dziwne, że nie spotkaliśmy się do tej pory - zauważył.

- Nie uczestniczę specjalnie w życiu towarzyskim. Praca zabiera większość mojego czasu i niewiele zostaje go na cokolwiek innego. - Michelle wiedziała, że nie jest to cała prawda. Takie wytłumaczenie wydawało się jednak dość prawdopodobne i używała go tak często, że sama zaczynała już w to wierzyć.

- Moja praca to głównie spotkania towarzyskie - powiedział Steve. - Lobbyści biorą udział w zbiórkach pieniędzy, przyjęciach, chodzą na obiady i kolacje, aby reprezentować interesy towarzystw dobroczynnych, różnorodnych instytucji kulturalnych, komitetów politycznych. Musimy być widziani i przystępni.

Roztoczona przez Steve'a wizja wydała się Michelle iście piekielną.

- Czy nie męczy cię to?

- Męczy? Życie towarzyskie? - Steve'a zaskoczyło to pytanie. - Nigdy! Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz spędziłem wieczór sam w domu. Kocham nocne życie. Jest ono zbyt nikłe w Harrisburgu, więc jeżdżę do Filadelfii, Waszyngtonu i Nowego Jorku na mecze, przyjęcia i inne imprezy. Mam tam przyjaciół i...

- Prowadzisz życie towarzyskie aż w czterech miastach? - Michelle przerwała mu, kompletnie zaskoczona. - I w każdym mieszkają kobiety, z którymi się spotykasz?

- Mam przyjaciół w tych miastach. - Steve starał się zatrzeć złe wrażenie, jakie zrobiła na Michelle jego wypowiedź. Czuł wyraźnie, że dziewczyna jest zdegustowana. - To nie musi znaczyć od razu, że spotykam się tam z kobietami - dodał skwapliwie.

Jednak tak właśnie było i oboje wiedzieli o tym. Popęłił duży błąd, opowiadając o swoim życiu towarzyskim. Najwyraźniej nie wywołało to u Michelle takiego zachwyty, jaki zwykle okazywały spotykające się z nim dziewczyny. Pragnąc znów zobaczyć ciepłe iskielki w oczach Michelle, spróbował powrócić do tematu historii rodzinnych. Dziewczyna słuchała go uprzejmie, lecz pozostała nieporuszona i obojętna. Jego czar osobisty zdawał się zupełnie na nią nie działać.

Nie było to dla niej łatwe. Tylko kamień mógł nie stopnieć pod wpływem żaru ciemnych oczu Steve'a. Michelle więc zdecydowała się zachowywać całkowitą obojętność i dystans.

Wspomnienie niezliczonych dziewczyn w czterech różnych miastach, które wciąż ulegały magii jego spojrzenia, pomagało jej wytrwać w tym postanowieniu.

Kiedy wychodzili z restauracji, na zewnątrz powitała ich prawdziwa śnieżycyca. Gruba warstwa śniegu zdążyła już pokryć ulice w ciągu tych dwóch i pół godzin, które spędzili wewnątrz.

- Zamięć przyszła tak nagle, że z pewnością zaskoczyła służby miejskie - zauważył Steve. - Nie zaczęli jeszcze odgarniać śniegu.

- Czy masz opony śnieżne lub łańcuchy?

- W moim samochodzie? - Był zbulwersowany. - Żartujesz.

Spojrzała na ulicę. Przejeżdżające samochody ślizgały się i grzęzły w śniegu. Pan Saraceni gardził jednak oponami grubo bieżnikowanymi i łańcuchami.

- Jazda w tych warunkach to koszmar. Będziemy potrzebowali dużo szczęścia, by wyjechać choćby z tej ulicy.

- Mój wóz sunie po śniegu jak sanie - odparł Steve, ruszając wzdłuż chodnika, który personel restauracji zdążył posypać solą. Nieco dalej jednak ulicę pokrywał gruby śnieg, przez który

Steve brnął z wysiłkiem. Michelle spojrzała z żalem na swoje zamszowe buty.

Po tym spacerze jej pantofle będą się nadawały tylko do wyrzucenia. Drżąc z zimna, przygotowała się, by ruszyć w ślady Steve'a.

I nagle znów spostrzegła go u swego boku. Zaskoczona, krzyknęła cicho, czując, że jej stopy nie dotykają już ziemi.

- Co robisz?

- A jak ci się zdaje? Niosę cię do samochodu. Steve poślizgnął się, lecz prawie natychmiast udało mu się odzyskać równowagę. Wystraszona Michelle objęła go mocno za szyję.

- Upadniemy! Proszę, postaw mnie!

- Nie upadniemy i nie postawię cię. Zaniosę cię, żebyś nie mogła oskarżyć mnie, że przeze mnie zniszczyłaś sobie buty i zmarnowałaś wieczór.

- Chyba nie bardzo rozumiem - odparła Michelle lodowatym tonem.

- Wiem, że kiepsko się dziś bawiłaś. Nie mogłaś się doczekać końca wieczoru. - Choć było to zupełnie nie w jego stylu, Steve cieszył się, że to z siebie wyrzucił. - Nie staraj się zaprzeczać - dodał.

- Dobrze, nie zrobię tego.

Dotarli wreszcie do samochodu. Otwierając drzwiczki, Steve wciąż trzymał w ramionach Michelle. Gdy znalazła się w środku, jej buty były suche i bez zacieków. Jego zaś przemoczone i brudne. Mężczyzna mniej rycerski nie dźwigałby kobiety tylko dlatego, żeby nie zniszczyła pantofli.

Kiedy samochód ruszył, żadne z nich nie odezwało się. Steve z łatwością wyjechał z parkingu na ulicę. Wycieraczki poruszały się nieprzerwanie, śnieg padał jednak tak gęsty, że ich praca wydawała się całkiem daremna.

- Widoczność jest fatalna - powiedziała zaniepokojona Michelle. - Nie sądzisz, że powinniśmy stanąć i...

- I co? Siedzieć w samochodzie i marznąć, czekając, aż przestanie padać? Nie, dziękuję.

Nigdy nie miałem kłopotów z prowadzeniem auta w zimowych warunkach. I teraz też nie przewiduję żadnych problemów.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy samochód zaczął wpadać w poślizg.

- Jedziemy pod dziwnym kątem - odezwała się Michelle, przełykając nerwowo ślinę. - Żaden inny wóz... - Jej głos zamienił się w przeraźliwy pisk, gdy samochód obrócił się nagle w poprzek jezdni. Słup telefoniczny był tuż tuż...

ROZDZIAŁ TRZECI

- Możesz już otworzyć oczy - oznajmił krótko Steve. - Nic nam nie grozi.

Michelle przestała zaciskać powieki i rozejrzała się wokół. Słup był za nimi, a wóz jechał wzdłuż krawężnika. Posuwali się wolno, gdyż śnieg wciąż sypał.

- Udało ci się - odetchnęła głęboko.

- Oczywiście. Przecież mówiłem ci, że ten samochód porusza się po śniegu jak sanie. - Nie był tak spokojny i opanowany, jak można by wywnioskować z jego tonu. Minęli słup zaledwie o kilka centymetrów. Oddychał głęboko, ignorując szaleńcze bicie swego serca.

- Do ciebie jest bliżej. Ja mieszkam po drugiej stronie miasta - powiedział przez zaciśnięte zęby, wjeżdżając na autostradę. Przysypane śniegiem, wszelkie oznakowania jezdni stały się teraz niewidoczne. Przypominała ona bardziej bezkresną arktyczną tundrę niż czteropasmową

drogę.

Michelle skinęła głową, wyobrażając sobie swoje ciepłe i bezpieczne mieszkanie.

- Najchętniej bym nas tam teleportowała - odezwała się cicho.

- Przestraszona?

- Absolutnie przerażona - przyznała Michelle.

- Uda się nam. - I zanim znów skoncentrował się na prowadzeniu, uściśnął jej dłoń.

Trasę, którą normalnie przemierzało się w dwadzieścia minut, pokonywali przez dwie pełne grozy godziny. Posuwając się z prędkością żółwia, mijali po drodze wielu nieszczęsnych kierowców, którzy wylądowali w przydrożnym rowie. Przez pewien czas słuchali radia, lecz ciągle informacje o pogodzie i nieprzejezdnych drogach drażniły Steve'a i denerwowały Michelle.

- Pozostanie w domu nie wchodzi w grę - warknął wreszcie Steve, kolejny raz słysząc ostrzeżenie, by nie wyjeżdżać na trasę, póki trwa zamieć. Wyłączył radio.

- Jaki sens dowiadywać się z drugiej ręki o tym, jak niebezpieczne są dzisiaj drogi? Sami tego doświadczamy.

Kiedy Steve wjechał na zaśnieżony parking przed domem Michelle, oboje byli wyczerpani. Steve przerzucił bieg, chcąc podjechać bliżej budynku. Koła kręciły się w miejscu, jaguar jednak nie posunął się ani o centymetr. Ugrzęźli na dobre.

- Wygląda na to, że szczęście opuściło nas ostatecznie - stwierdził ponuro Steve.

- Nie szkodzi! - wykrzyknęła Michelle. - Bałam się, że skończymy uwięzieni w rowie lub rozbijemy się o przydrożny słup. Prowadziłeś... - urwała na moment, szukając najlepszego określenia - wspaniale.

- A więc, co powiesz na to, by ten wspaniały kierowca spędził u ciebie noc?

Michelle spojrzała na niego całkiem zaszokowana. Steve zaśmiał się.

- Ty jesteś w domu, kochanie, nie ja. Ugrzązłem na tym głupim parkingu i wygląda na to, że dzisiaj nigdzie nie pojedę.

Michelle westchnęła, nic nie odpowiadając.

- Mimo wszystko nie jestem chyba tak wspaniały. Choć ktoś mógłby powiedzieć, że wpakowanie się w takie tarapaty, aby spędzić u ciebie tę noc, jest wspaniałą strategią. Jego dowcip nie rozśmieszył Michelle. Dziewczyna patrzyła na Steve'a. Wydawał się równie zmęczony i wyczerpany jak ona.

- Wiem, że nie zrobiłeś tego specjalnie - powiedziała cicho, obserwując szalejącą wokół zamieć.

- Zdecydowanie nie. Nie jestem facetem narzucającym się tam, gdzie go nie chcą.

Może dlatego, że jego głos zabrzmiał tak bezbarwnie, a może z powodu więzi, jaka wytwarza się między ludźmi, którzy razem muszą stawić czoło przeciwnościom losu, Michelle odczuła nagle wyrzuty sumienia.

- Nie chciałam, byś odniósł takie wrażenie. Przez cały wieczór starałam się być uprzejma.

- Ależ byłaś niezwykle uprzejma. Uśmiechałaś się we właściwych momentach, kiwałaś głową i podtrzymywałaś rozmowę. Tylko że robiłaś to wszystko zupełnie automatycznie. - Steve zmarszczył brwi. - Potrafię odróżnić naturalne zachowanie od udawania. Zarówno w łóżku, jak i poza nim.

- Jak możesz stwierdzić, czy kobieta udaje w łóżku? - wymknęło się Michelle, zaskoczonej jego nieoczekiwaną otwartością. - W każdym artykule, jaki czytałam na ten temat, twierdzili, że mężczyzna nigdy nie jest w stanie tego poznać. - Rumieniąc się mocno, chciała cofnąć swoje

słowa już w chwili, gdy je wypowiadała.

Steve uniósł w górę brwi.

- Czy wierzysz we wszystko, co czytasz, Michelle? Jeśli tak, to uważasz pewnie, że Hitler w rzeczywistości był kobietą, a Elvis wciąż żyje...

- Co takiego?

- W jednej z gazet w supermarkecie przeczytałem, że Hitler był faktycznie kobietą. Jest to najpilniej strzeżony sekret drugiej wojny światowej.

Michelle nie była w stanie powstrzymać śmiechu.

- Nie należy zatem wierzyć we wszystko, co czytamy w gazetach - ciągnął gładko Steve. - I zawsze potrafię poznać, czy kobieta udaje w łóżku, niezależnie od tego, co piszą na ten temat w prasie.

Jej uśmiech znikł raptownie, podobnie jak i wszelka sympatia, jaką Michelle zaczęła już odczuwać w stosunku do Steve'a.

- Jeśli w ogóle jakikolwiek mężczyzna potrafi to stwierdzić, to z pewnością jesteś nim ty. Bez wątplenia masz wystarczająco bogate doświadczenia, prawda? Te wszystkie kobiety w różnych miastach?

- Nie, tylko znowu nie to! - zawołał Steve. - Właśnie wtedy nasza rozmowa stała się mniej sympatyczna. Kiedy wspomniałem, że często wyjeżdżam z Harrisburga.

- Wyjeżdżasz z Harrisburga? To zdecydowanie zbyt niedokładne określenie! Ale ty świetnie radzisz sobie z kolorowaniem prawdy lub też pomijaniem jej całkowicie.

- Michelle, ja...

- Mam dla ciebie radę, która, może okazać się pożyteczna podczas następnych randek - przerwała mu Michelle. - W dzisiejszych czasach przechwałki na temat seksualnych wyczynów są tym samym co spacerowanie z wywieszką na plecach: „Uwaga! Laboratorium Badawcze przy Centrum Chorób Zakaźnych”. Myślące, spostrzegawcze kobiety nie będą tym zachwycone.

- Zawsze byłem ostrożny! - zaprotestował Steve. - Jeszcze zanim bezpieczny seks stał się wytartym sloganem, praktykowałem go już. Od czasów szkoły średniej najbardziej obawiałem się, by któregoś dnia jakaś pechowa dziewczyna nie oświadczyła, że mam już prawo do życzeń i krawata z okazji dnia ojca. Bam... koniec swobody i początek życia rodzinnego. Zawsze chciałem mieć pewność, że to się nie zdarzy.

- Doceniam tę niechęć do podejmowania ryzyka - Michelle skomentowała jego słowa ze słodkim uśmiechem. - Ale...

- Ale masz jeszcze jakieś rady? - Steve wydawał się rozszłoszczony. - Dlaczego kobiety uważają zawsze nieżonatych mężczyzn za znakomity cel dla swoich ataków?

- Może dlatego, że kobiety nie lubią czuć, że są tylko nic nie znaczącym epizodem. Jednym z wielu. Jak drobniaki w kieszeni. Chcemy czuć się wyjątkowe, niezwykle, niepowtarzalne. Z twojego punktu widzenia kobieta to tylko ciało. Najlepiej, żeby było zgrabne i chętne.

- Byłoby to pewnie w złym guście, gdybym powiedział, że twoje ciało jest zdecydowanie niezwykle? Że dzięki mnie mogłabyś poczuć coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyłaś.

Wyjątkowe jest właściwym określeniem, gdybyś zechciała być, hm, chętna? - Posłał jej czarujący, kuszący uśmiech. Nie był on jednak w stanie powstrzymać silniejszego z każdą chwilą gniewu Michelle. Wiedziała, że Steve przekomarza się z nią, i dlatego właśnie ogarniała ją coraz większa złość. Irytowała się o wiele bardziej, niż powinna.

Z impetem otworzyła drzwiczki wozu. Śnieżny tuman, popychany silnym podmuchem wiatru,

niemal ją oślepił. Z determinacją zanurzyła stopy w biały, wilgotny pył. Chwilę później Steve znalazł się tuż przy Michelle. Otoczył ramieniem jej talię i oboje szli z trudem w stronę budynku. Kiedy znaleźli się w holu, bezpieczni za grubymi szklanymi drzwiami, Michelle odetchnęła z ulgą.

- Twoje buty nie wyglądają najlepiej - zauważył Steve, spoglądając na przemoczone zamszowe pantofle. Tym razem nie byłby w stanie przenieść jej z samochodu. Siła wiatru i głęboki śnieg nie pozwoliłyby mu powtórzyć wcześniejszego wyczynu. Zresztą, biorąc pod uwagę obecny nastrój Michelle, nawet jeśli byłoby to możliwe, dziewczyna mogłaby nie docenić jego dobrej woli.

- Pogoda pogorszyła się od czasu naszego wyjścia z reastauracji - mruknęła spoglądając przez szybę na rozszalałą zamieć.

Steve podążył za jej wzrokiem. Wiatr dął z siłą huraganu, unosząc tumany śniegu, jakich dawno nie widziano w Harrisburgu.

- Do licha, chyba naprawdę jestem uwięziony tu na dobre. - Po raz pierwszy miał spędzić noc z atrakcyjną, uroczą kobietą, której wydawał się równie pociągający jak trujące odpady.

- Sądziłeś, że uda ci się oczarować matkę naturę, by uciszyła dla ciebie burzę? - Miał to być żart, zabrzmiał jednak bardziej zgryźliwie, niż Michelle sobie tego życzyła. Steve zmarszczył brwi.

- Czy moglibyśmy ogłosić zawieszenie broni? - Przyglądał się Michelle. Płatki śniegu lśniły w jej gęstych blond włosach. Ciemne rumieńce na policzkach sprawiały, że oczy dziewczyny wydawały się jeszcze ciemniejsze, jeszcze bardziej niebieskie. Wyglądała tak ślicznie, świeżo i elegancko. Miała klasę i tyle seksu, że Steve poczuł ogarniające go pożądanie. Powodowany impulsem wyciągnął rękę, by schwycić w palce jeden z jej złotych loków.

Michelle obrzuciła go karcącym spojrzeniem i cofnęła się.

- Masz śnieg we włosach - wyjaśnił Steve bez przekonania. - Próbowałem go tylko strząsnąć.

- Roztopi się - odparła chłodno. Ruszyła po schodach.

Steve podążył za nią. Dlaczego ta dziewczyna jest tak pociągająca? ubolewał w duchu.

Dlaczego musi tak pociągać właśnie jego? Miała osobowość zdecydowanie odpychającą. Była przemyślana, zimna, ostrożna i wszystko krytykowała. Nie przypominała w niczym wesołych i rozchichotanych dziewczyn, które zwykle dotrzymywały mu towarzystwa. One nie wiedziałyby nawet, co to jest Centrum Chorób Zakaźnych.

Michelle zatrzymała się na drugim piętrze.

- Pozwolisz? - zapytał Steve aksamitnym głosem, sięgając po jej klucz. Już dawno temu opracował technikę otwierania drzwi jedną ręką, podczas gdy drugą pieścił dziewczynę. Symboliczna wymowa tego aktu wzmagала napięcie i...

- Poradzę sobie sama - oznajmiła krótko Michelle. Otworzyła drzwi bez żadnej pomocy. Mieszkanie było ciemne i wyiębione. Michelle zakrzętnęła się szybko, odkręcając mocniej ogrzewanie i zapalając wszystkie lampy.

- Możesz spać na kanapie - wskazała zniszczony mebel w kształcie litery U. Na samym środku leżał rozciągnięty wygodnie kot.

- Znakomicie. Wieloczęściowa kanapa. Powinna być wygodna, zwłaszcza wtedy, kiedy poszczególne części się rozjadą. Ale nie narzekam. Kot będzie mnie ogrzewał.

Michelle z trudem powstrzymała śmiech. Instykt ostrzegał ją, że żarty z tym mężczyzną mogą być niebezpieczne.

- Jak widzisz, nie mam najlepszych warunków, by zapraszać na noc gości.

- Cóż, uwierz mi, kochanie, że nigdy nie zamierzałem stać się jednym z nich.
- Nie wiem, czy to radykalne odstępstwo od twego zwykłego modus operandi ma mi pochlebiać. Może powinnam poczuć się obrażona?
- Nie przejmuj się. Znów nie powiedziałem całej prawdy. - Uśmiechając się, Steve ujął ręce Michelle i podniósł do ust. Pocałował wewnątrz jej dłoni. - Nie masz ochoty zmienić swoich nocnych planów, skarbie?

Skarbie! Z oburzeniem w oczach wyrwała mu rękę.

- Nie.

Steve wzruszył ramionami i ułożył się obok kota.

- Cóż, nie szkodziło zapytać. I przyznaj sama, że byłabyś obrażona, gdybym choć nie spróbował cię uwieść.

Michelle przyglądała się mu, całkiem zbita z tropu.

- I co? Poddajesz się? - Czy to mogło być aż tak łatwe? Odkąd weszli do mieszkania, czuła się coraz bardziej zaniepokojona i zagrożona... i słusznie. Kobieta sama w mieszkaniu z obcym mężczyzną, kiedy tyle słyszy się o gwałtach... Przyjrzała się mu uważnie.

- Nie masz zamiaru... być bardziej natarczywy?

- Ależ z przyjemnością, gdy tylko otrzymam od ciebie sygnał. W innym przypadku możesz uznać moją symboliczną próbę za ostateczne natarcie tego wieczoru. Nie lubię narzucać się kobietom, zwłaszcza przy użyciu siły. Jeśli kobieta mówi: „nie”, szanuję to.

Czując ogromną ulgę, Michelle opadła na kanapę obok niego.

- Cieszę się, że to słyszę. Nie miałabym ochoty spędzić dzisiejszej nocy wyrzucając cię z łóżka.

- To byłaby dla mnie nowość - odparł sucho Steve. - Jeszcze żadna kobieta nie chciała mnie stamtąd wyrzucić. - Roześmiał się. - Rozumiem, że „nie” znaczy „nie”. Podobnie jak „tak” znaczy „tak”. Michelle zmarszczyła czoło z dezaprobatą.

- Mówisz o tym w sposób niezwykle nonszalancki. Wydawało mi się, że podboje to poważna sprawa dla mężczyzn takich jak ty.

Steve oparł się wygodnie na poduszkach kanapy, wyciągając przed siebie nogi i układając stopy na niskim stoliku.

- Masz na myśli tych neurasteników, których dobre samopoczucie zależy od tego, czy są w stanie zaciągnąć kobietę do łóżka, czy też nie? Kobiety popełniają wielki błąd, zaliczając wszystkich mężczyzn do jednej kategorii. Istnieje kolosalna przepaść pomiędzy tymi godnymi litości chorymi typami a nami, mężczyznami pewnymi siebie, niezależnymi i szczęśliwymi. -

Pochylił się nad nią.

- Nie potrzebuję kapitulacji kobiety, by potwierdzić swą męskość czy poprawić samopoczucie. Jestem bardzo zadowolony z siebie i mojego życia. Mam swoją pracę i zainteresowania, wielu przyjaciół, rodzinę, i rozkoszuję się wolnością. Nie szukam miłości i nigdy tego nie robiłem. Lubię kobiety, lubię przebywać w ich towarzystwie i po prostu chcę się dobrze bawić.

Michelle uniosła brwi.

- Czy zawsze jesteś tak szczery z kobietami, z którymi... hm, spotykasz się? Czy zawsze mówisz tak otwarcie o swoich zamiarach lub też o braku tychże?

Steve wzruszył ramionami.

- Zwykle nie rozmawiam tak wiele z kobietami, z którymi, hm, spotykam się. - Doskonale naśladował ton jej głosu. - Zazwyczaj jemy kolację, tańczymy, oglądamy film czy mecz. - Urwał. - Lub robimy inne rzeczy.

Inne rzeczy. Michelle odwróciła głowę, aby Steve nie zauważył rumieńca, który oblał jej policzki.

- Nie musisz się nad tym rozwodzić - powiedziała surowym tonem.
- Zanim potępisz mnie całkowicie, spróbuj najpierw zrozumieć. Rozmawiam całymi dniami, przez cały tydzień. Praca lobbyisty to nieustanne rozmowy. Ostatnia rzecz, o jakiej marzę, to dyskusje w czasie randek. Kiedy nie pracuję, chciałbym odpocząć od ciągłego gadania.
- A więc umawiasz się z idiotkami, których rozmowa ogranicza się do zawołań w rodzaju „och” i „ach”? - spytała domyślnie Michelle.

- Cóż, „idiotki”, to może odrobinę za mocne określenie, ale w zasadzie masz rację.
- Zapewne nigdy nie przeszło ci przez myśl, że jest różnica pomiędzy tym, co robisz w ramach obowiązków służbowych, a prawdziwą rozmową? Albo że rozmowa mogłaby także stać się przyjemnością, gdybyś umawiał się z kobietami zdolnymi do inteligentnej wymiany zdań?
W jego ciemnych oczach zapłonęły iskiereki.

- To bardzo radykalne postawienie sprawy.

- Zaczekaj. Właśnie coś zrozumiałam. Kiedy umawiałeś się ze mną, czy sądziłeś, że mam ptasi mózdzek i nie będę umiała właściwie cię ocenić? - Michelle była oburzona. - Mam rację, prawda?

- Nie, nie! Wiedziałem, że jesteś inna. Spojrzenie, które mu posłała, było niezwykle wymowne.

- Nie sądzisz chyba, że jestem na tyle głupia, by w to uwierzyć?

- Ale to prawda, Michelle. Tak dobrze rozmawiało nam się wtedy przez telefon. Chciałem cię bliżej poznać. Jesteś inteligentna, błyskotliwa i dobra w swojej pracy... Zainteresowałaś mnie, dziewczyno.

- A większość kobiet nie wzbudza twojego zainteresowania?

- Zwracam uwagę tylko na ich wygląd. Z tobą jest inaczej.

- Tak, oczywiście. Podziwiasz zarówno mój umysł, jak i ciało -zadrwiła.- Daj spokój, Steve. Nie jestem aż tak naiwna.

- Powiedziałem prawdę, Michelle. - W jego głosie zabrzmiała uraza. Wydawał się być tak oburzony, że Michelle odwróciła się, by spojrzeć na jego twarz.

Jednym zwinnym, lecz niespiesznym ruchem Steve pokonał dzielący ich dystans. Objął Michelle ramieniem, drugą ręką jednocześnie unosząc lekko jej brodę.

- Zawsze jesteś taka zasadnicza? - Uśmiechał się do niej. W jego oczach pojawił się ciepły blask.

Ku własnemu przerażeniu Michelle stwierdziła nagle, że na jego łobuzerski uśmiech ona także odpowiada uśmiechem. Bawił się nią, czyż nie? Przecież powinna być na niego wściekła!

Nie potrafiła jednak wzbudzić w sobie gniewu. A on był tak blisko, jego zmysłowe usta tuż obok jej ust. Długimi palcami pieścił teraz wrażliwą skórę jej szyi. Czowała, że jej ciało płonie.

- Jak to robisz? - spytała drżącym głosem. Ciepło jego ciała podsycalo trawiący ją płomień.

- Co takiego?

Gardłowy tembr głosu Steve'a działał na Michelle z tą samą mocą co ciemny blask jego oczu.

Czowała emanującą od niego męską siłę, która obezwładniła ją zupełnie. Michelle zdawała sobie sprawę, że powinna go odepchnąć, lecz zamiast tego odepchnęła tę myśl i siedziała dalej nieruchomo, jakby zahipnotyzowana siłą jego spojrzenia.

- Wiesz -szepnęła. - Odmieniłeś wszystko. Klóciliśmy się, a potem nagle...

Jej głos załamał się, gdy Steve dotknął ustami jej warg tak delikatnie, że Michelle sądziła wręcz, że śni.

- Klóćiliśmy się, by nie robić tego - powiedział głosem tak namiętym i zmysłowym, że Michelle poczuła dreszcz pożądania.

Pewnymi, powolnymi ruchami Steve pociągnął dziewczynę na oparcie kanapy.

- Kiedy siedzieliśmy dziś w restauracji - mówił cicho, wędrując ustami po jej policzku, wargach i podbródku - tak bardzo pragnąłem cię dotknąć.

Przesunął dłoń od barku w dół jej pleców, aż do talii. Rozpostarł palce na płaskim brzuchu dziewczyny, dosięgając dłonią jej piersi. Michelle zalała nagła fala gorąca. Instynktownie skrzyżowała nogi i przylgnęła do niego mocniej.

Niezwykle zwinne dłonie Steve'a poruszały się niestrudzenie. Jedną ręką gładził atlasową skórę jej uda, podążając za wciąż umykającym wyżej brzegiem sukienki, drugą zaś podtrzymywał jej kark, nie przerywając pocałunku.

Michelle czekała, czując na plecach dreszcze pożądania. Nikt nie podniecił jej nigdy równie szybko i równie silnie. Oszołomiona i spragniona, nie myślała, że doświadczane przez nią wrażenia mogą być owocem wyrafinowanej techniki miłosnej Steve'a. Wierzyła, że są one wynikiem jej własnych uczuć, emocji, z którymi walczyła przez cały wieczór. Teraz, w jego ramionach, pozbyła się wszelkich obaw i wątpliwości.

Tuląc się do Steve'a, Michelle szeptała jego imię. Niski, pierwotny jęk wyrwał się z gardła Steve'a, samcze zawołanie, nad którym nie był w stanie zapanować. Oddychał głęboko, a całe jego ciało pulsowało boleśnie pożądaniem. Nigdy nie podniecił się tak szybko i to tylko za sprawą pocałunków.

Gdy Michelle przylgnęła do niego, zmysłowo ocierając się o jego ciało, poszukując wargami jego ust, Steve czuł, jak ślepa namiętność narasta w nim niebezpiecznie. Wsunął rękę za dekolt dziewczyny, odnajdując nagą pierś ukrytą pod jedwabiem stanika.

Michelle zacisnęła mocno powieki. Jęczała cicho, gdy pocierając jej sutki, Steve zamienił je w gorejące jęczyczki ognia. Było jej tak dobrze; nie chciała, by zaprzestał tych pieśczoł. Gdy cofnął rękę, jęknęła protestując.

- Spokojnie, kochanie. - Głos Steve'a brzmiał nisko i gardłowo. - Uwolnimy cię. - Przeciągnął ręką po plecach Michelle w poszukiwaniu suwaka, lecz nadaremnie. Ogarnął go niepokój. - Jak wydostajesz się z tego?

Patrzył na elastyczny materiał jej sukni. W jaki sposób zdjąć z Michelle tak obcisłą kreację? Nie będzie łatwo pozbyć się teraz tej przeszkody.

Ta sama myśl wyrwała Michelle ze zmysłowego amoku. Miała na sobie elegancką, seksowną suknię; nałożenie jej lub zdjęcie wymagało nie lada wysiłku. Nie była to odpowiednia kreacja na randkę z kochankiem.

Kochankiem! Słowo powróciło do niej niczym odbita rykoszetem kula. Kiedy Michelle wyzwoliła się już spod uroku Steve'a, w pełni zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła i co miała zamiar zrobić!

- Puść mnie! - Oddychała ciężko. Patrzyli na siebie w milczeniu.

Steve odsunął się kilka centymetrów, lecz wciąż nie wypuszczał jej z objęć. Jego ciało pulsowało ogniem pożądania.

- Michelle - zaczął ochryple.

- Nie! - Odepchnęła go z całej siły. Ten nieoczekiwany atak zaskoczył go na tyle, że Michelle zdołała się uwolnić. Zerwała się na równe nogi. - Nie mogę w to uwierzyć! - Oburzenie na Steve'a i własną słabość dodało siły jej wybuchowi gniewu. - Jesteś podstępny jak wąż!

Sprawiłeś, że czułam się z tobą dobrze i bezpiecznie. Nabrałeś mnie na swą rycerskość, bym

zrezygnowała ze zwykłej czujności. Powiedziałeś, że nie masz zamiaru mnie uwieść, że nie będę musiała walczyć z tobą...

- Nie musiałaś walczyć - przypomniał jej Steve z dziwnym wyrazem twarzy. - Byłaś jak najbardziej po mojej stronie, kotku.

- Ty arogancki, egoistyczny, godny pogardy kłamco! - wykrzyknęła Michelle.

Twarz Steve'a wykrzywił grymas.

- Nie jestem kłamcą - stwierdził krótko. - Dobry lobbysta traci wiarygodność, kiedy kłamie. Nie jestem kłamcą, Michelle - powtórzył.

- Nie mówię o twojej pracy, ty chytry lisie. Chodzi mi o to, co mówiłeś dziś wieczorem. Te zapewnienia, że nie będziesz mnie atakował, a przecież właśnie to zrobiłeś.

- Powiedziałem, że nigdy nie używam przemocy wobec kobiet - odparł Steve. Również jego zaczynały ponosić nerwy, choć starał się nad sobą panować. - I do niczego cię nie zmuszałem, Michelle. W każdym razie nie uwiodłem cię. Całowaliśmy się tylko.

Całowali się tylko! Michelle czuła się, jakby otrzymała policzek. A więc tak to traktował. Kolejna kobieta, kolejny weekend, kolejny pocałunek. Michelle pamiętała jeszcze żar ogarniającej ją namiętności, przyjemność, jaką dały jej te chwile. Czuła wtedy, że to, co robi, jest słuszne.

Wydawało się jej, że odnalazła coś wyjątkowego, coś, czego z nikim innym nie mogłaby doświadczyć. Najwyraźniej on przeżywał to zupełnie inaczej. Jej twarz zapłonęła ze wstydu.

- Twierdzisz, że jedynie się całowaliśmy. - Nigdy, nigdy nie da mu poznać, jak bardzo poczuła się zraniona okazanym przez niego lekceważeniem. Zamiast tego natarła na Steve'a niczym rozjuszona lwica. - Zdajesz się zapominać, że twoja ręka znalazła się za moim dekoltem.

- I byłaś tym zachwycona - warknął Steve. Sama się o to prosi, usprawiedliwił się w duchu.

Kiedy otrzymał policzek, musiał przyznać, że w pełni na niego zasłużył.

Michelle oszołomiona oglądała czerwony ślad na jego twarzy.

- Nigdy dotąd nie uderzyłam nikogo.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz. - Steve z ociąganiem dotknął ręką twarzy. - Niespecjalnie zachwyca mnie fakt, że zostałem pierwszym spoliczkowanym przez ciebie facetem.

Michelle westchnęła.

- Należało ci się!

- Naprawdę?

- Tak! Ponieważ nic nie ma dla ciebie znaczenia! Spotykasz różne kobiety w różnych miastach podczas kolejnych weekendów, lecz traktujesz je jednakowo. Jeśli twoje partnerki tak łatwo można zamienić lub zastąpić kimś innym, nic, co wydarzy się z którąkolwiek z nich, nie ma znaczenia. Nikt i nic nie liczy się dla ciebie.

Steve poruszył się niespokojnie.

-Cóż, jeśli może cię to pocieszyć, dzisiejsza randka zdecydowanie różniła się od wszystkich poprzednich, ty zaś nie przypominasz żadnej z kobiet, z którymi spotykałem się dotąd.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, zgasły nagle wszystkie światła i dom pogrążył się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Myślisz, że zostały zerwane przewody elektryczne? - spytała zaniepokojona Michelle.

- Możliwe, posłuchaj tylko, jaki jest wiatr.

Głos Steve'a był jedynie bezosobowym dźwiękiem w ciemności, lecz słysząc go, Michelle odczuwała ogromną ulgę. Było coś pocieszającego w świadomości, że nie znajduje się sama w nieprzeniknionym mroku. Nawet jeśli jej towarzyszem był Steve Sara.ceni. I wówczas dotarło to do niej.

- Jeśli nie ma prądu, nie działa ogrzewanie.

- Jestem pewien, że szybko usuną awarię - powiedział uspokajająco Steve, sam nie wierząc w to, co mówi. Było mroźno i wietrznie. Przy tak zasypanych drogach istniała niewielka szansa, by pogotowie elektryczne wyjechało z bazy tej nocy.

Kolejna minuta upłynęła w milczeniu. Nie warto było mówić o rzeczach oczywistych. O tym, że bez stałego ogrzewania elektrycznego, które uzupełniałoby ciepło utracone przez zbyt cienkie ściany, okna, szpary i pęknięcia, temperatura w mieszkaniu spadnie bardzo szybko.

- Rozluźnij się - Steve starał się, by zabrzmiało to przekonująco. - Przecież możemy zapalić świece. Masz, prawda?

- Bardzo żałuję, ale niestety nie mam - odparła ponuro Michelle. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby je kupić. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Gdybyśmy znaleźli się teraz u mnie, mielibyśmy ten sam kłopot. Ja też nigdy nie kupowałem świec. Ale masz oczywiście latarkę?

Michelle przygryzła wargę, czując się zdecydowanie niezręcznie.

- Nie, nie mam.

- Założę się, że nie masz też żadnych narzędzi. Nawet najprostszych: młotka, gwoździ, obcęgow.

- Zawsze mam zamiar kupić te wszystkie rzeczy, ale nigdy nie przechodzę koło sklepu z narzędziami i...

- Jako syn cieśli jestem zgorszony. Miałem już te podstawowe narzędzia, zanim w moim mieszkaniu pojawiły się jakiegokolwiek meble. No cóż, jeszcze nie wszystko stracone. Odwiedzę twoich sąsiadów i zapytam, czy któryś z nich nie mógłby pożyczyć nam świec lub latarki. Steve wrócił po krótkiej chwili z latarką w ręku.

- Mam także jedną świecę. - Wcisnął w dłoń Michelle niewielki ogarek. - A facet spod dwójki pożyczył mi tę latarkę, bym mógł zejść do samochodu po swoje rzeczy.

- Twoje rzeczy? - powtórzyła za nim.

- Po moją torbę. Wożę ją w samochodzie. Mam w niej dres i wełniane skarpety. Wszystko czyste, mogę więc je teraz nałożyć. Nie mam zamiaru spać w nowej marynarce, a poza tym bez ogrzewania i tak będę potrzebował czegoś cieplejszego.

Michelle poczuła przyspieszone bicie serca.

- Tak, oczywiście.

Steve skierował światło latarki na jej twarz.

- A co pomyślałaś? Że spakowałem rzeczy, planując pozostanie u ciebie na noc? - Nie czekał na jej odpowiedź. - Tak pomyślałaś! Widzę to w twoich oczach!

- Nie marnuj baterii, zgaś latarkę - skarciła go Michelle.

- Widzisz, myliłaś się co do mnie - zawołał Steve niezwykle rozradowany.

- Czyżby interesowało cię moje zdanie?

- Choć może się to wydać zaskakujące, interesuje. - Tym razem w jego głosie nie słyszała radości, lecz irytację. Pośpiesznie zmienił temat. - Wezmę tylko płaszcz i pójdę do samochodu. Mam nadzieję, że wpuścisz mnie, gdy wrócę.

- Nie mam wyboru - odparła Michelle bez entuzjazmu.

Kiedy została sama, ustawiła ogarek na małym talerzyku i rozejrzała się wokół. Burton, zwinięty w kłębek, spał smacznie na kanapie zupełnie nie poruszony wydarzeniami, które dopiero co rozegrały się w pokoju.

Michelle splonęła się na wspomnienie tych burzliwych chwil. Wpływ, jaki wywierał na nią Steve... podniecenie, zatracenie poczucia rzeczywistości.

Zmieszana, ruszyła do sypialni, odnajdując drogę przy nikłym świetle. Po raz pierwszy zauważyła, że ogromne, podwójne łóżko dominuje, a właściwie wypełnia całkowicie mały pokój. W mieszkaniu robiło się coraz chłodniej. Michelle zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest po północy. Skoro nie było elektryczności, najrozsądniejszy wydawał się pomysł, by pójść do łóżka i przespać tę mroźną noc. Ale jak będzie mogła zasnąć, wiedząc, że Steve jest tuż obok? Czy powinna w ogóle kłaść się do łóżka, kiedy on znajdował się w jej mieszkaniu? Te niepokojące przeczucia zmobilizowały ją, by wykorzystać chwilę nieobecności Steve'a. Rozebrała się szybko, wpychając do szafy zmięte ubranie. Momentalnie odnalazła komplet ciepłej bielizny, a na wierzch naciągnęła dodatkowo granatowy dres. Wkładała właśnie drugą parę skarpet, kiedy Steve zastukał do drzwi.

Wszedł cały zasypany śniegiem.

- Witaj, tropicielu polarnych niedźwiedzi - odezwała się Michelle.

- Aha, wreszcie odzyskałaś dobry humor. Następny będzie zapewne dowcip o bałwanach. - Rzucił w nią śnieżką. Michelle pisnęła i odskoczyła w bok. - Włączyłem na moment radio w samochodzie. - Nie przestając mówić, Steve zdjął płaszcz i przemoczone buty. - Wiatr wieje z prędkością stu kilometrów na godzinę i pół miasta pozbawione jest prądu. Zamknięto wjazdy na autostrady, a na 1-81 zrobił się karambol. Rozbiły się dwadzieścia dwa samochody.

- To okropne! - wykrzyknęła Michelle.

- Nie będzie prądu co najmniej do jutra, w najlepszym wypadku.

Michelle patrzyła szeroko otwartymi oczyma, jak Steve zdejmuje marynarkę. Kiedy rozluźnił krawat i zaczął rozpinąć koszulę, ruszyła do akcji.

- Możesz najpierw skorzystać z łazienki. - Podała mu talerzyk ze świeczką. - Zanim się... hm... ubierzesz, ja przyniosę prześcieradła i przygotuję kanapę do spania.

- Weź dużo koców. Już jest tu zimno. Do rana... Co się stało? - Przyglądał się Michelle, która właśnie wydała okrzyk rozpaczy.

- Nie mam żadnych koców - powiedziała.

- Co takiego?

- Nigdy nie potrzebowałam dodatkowych koców - broniła się Michelle. - Mam tylko kołdrę z gęsiego pierza. To jedna z tych sprawdzonych w temperaturach arktycznych i zazwyczaj mi wystarcza. Mam jeszcze sznurkową narzutę, której używam przy cieplejszej pogodzie. - Spuściła wzrok. - Mogę ci ją dać. Jeśli nałożysz płaszcz...

- Zapomnij o tym, Michelle. Mój płaszcz jest całkiem przemoczony, a poza tym uszyty z cienkiej welenki. Zaś w taką noc jak ta bawełniana narzuta niewiele mi pomoże. Zwłaszcza przy awarii ogrzewania! Ty i ja będziemy dzielić dzisiaj łóżko, twoją pierzynę i ogrzewać się nawzajem ciepłem naszych ciał. To jedyny sposób.

- Nie ma mowy! - krzyknęła. Jej serce biło jak oszalone. - Jeśli sądzisz, że pójdę z tobą do łóżka...

- Nie myślisz chyba poważnie, że jest to podstęp z mojej strony? - Steve przerwał jej z niedowierzaniem. - Kotku, paranoja w twoim przypadku przybrała zupełnie niebywałe rozmiary! Nie chcę po prostu zamarznąć na śmierć. - Chwycił torbę i ruszył do łazienki, zostawiając

Michelle samą w ciemnościach.

Co miała zrobić? Już sama myśl, że Steve miałby spać w drugim pokoju, była wystarczająco niepokojąca, ale to...

- Twoja kolej. - Nikły blask świeczki wskazywał, gdzie stoi Steve. Miał na sobie szerokie i ciepłe spodnie, równie obszerną bluzę, a na stopach grube, szare skarpety. W tym stroju wydawał się nie mniej przystojny niż w eleganckim garniturze.

- Steve, rozumiesz z pewnością, że nie możemy...

- Rozumiem, że nie możemy postąpić inaczej, Michelle - przerwał jej. - Nie pozostawiłaś mi wątpliwości co do tego, że nie masz ochoty dzielić ze mną łóżka, ale musimy to zrobić. Jeśli miałaś więc jakieś szalone, męczeńskie pomysły, by na przykład samej spać na kanapie pod swoją sznurkową narzutą, możesz o nich w tej chwili zapomnieć. Będziemy spali, dosłownie. Nie używam tego słowa jako eufemizmu. Oboje jesteśmy dorośli i musimy zachować się odpowiednio. Rozsądnie i praktycznie. Zrozumiano?

Michelle przyglądała się mu w milczeniu. Gdy Steve zrobił krok w jej stronę, dziewczyna cofnęła się automatycznie.

- Michelle, nie będę gonił cię po całym pokoju ze świeczką w dłoni. - Jego usta wygięły się w drwiącym uśmiechu. - To bardzo niepraktyczne. - Postawił talerzyk z ogarkiem na niskim stoliku i ruszył w stronę sypialni. - Dobranoc.

W mieszkaniu zapadła cisza. Michelle ujęła świeczkę i powlokła się do łazienki. W małym pomieszczeniu panował ziąb. Szybko zakończyła wieczorne mycie i z wahaniem skierowała się w stronę sypialni. W słabym świetle udało jej się dojrzeć własne łóżko, a w nim Steve'a. Kódrę naciągnął tak, że jego czarne włosy były ledwie widoczne na poduszce. Według tego, co mówił, powinna teraz po prostu położyć się obok niego.

Michelle zbuntowała się. Wróciła do salonu, odnalazła zimowy płaszcz i usiadła na kanapie. Miała przed sobą bardzo długą i zimną noc.

Nie wiedziała, ile czasu przesiedziała w ten sposób. W pokoju było coraz zimniej. Co gorsza, świeczka wypalała się bardzo szybko. Michelle wkrótce miała znaleźć się w całkowitych ciemnościach.

- W twoim przypadku postanowiłem zrobić wyjątek. - Steve pojawił się nagle obok niej. Michelle aż podskoczyła. Spoglądała przez okno na pędzące tumany śniegu i nie słyszała, że wszedł do salonu.

Wziął ją na rękę, zanim jeszcze zdążyła zorientować się, jakie są jego zamiary.

- Nigdy nie zmuszam kobiet do robienia tego, na co nie mają ochoty, ale, jak mówi stare przysłowie, zawsze musi być ten pierwszy raz.

- Puść mnie! - zawołała Michelle. W jakiś sposób udało się jej utrzymać świeczkę w dłoni.

- Nie - odparł Steve przez zaciśnięte zęby. - Jestem wykończony, ale z jakiegoś powodu nie mogę spać, wiedząc, że ty siedzisz tu i marzniesz. Jeśli oboje chcemy trochę wypocząć dzisiejszej nocy, muszę położyć cię do łóżka i nie pozwolić ci uciec.

- Nie możesz! Nie zrobisz tego! - krzyczała Michelle, rozpaczliwie próbując się uwolnić.

Steve wydał groźny pomruk.

- Bez wątpienia jesteś najbardziej nierozsądną i upartą kobietą, jaką znam. - Kiedy przekraczał próg sypialni, Michelle upuściła świeczkę. Płomyczek zgasł, jeszcze zanim dotknął dywanu.

- Widzisz, co się stało przez ciebie! - krzyknęła. - Teraz nie mamy już w ogóle światła.

- Nie szkodzi, nie potrzebujemy go. Oboje spędzimy resztę nocy w łóżku.

Steve niósł ją do sypialni, powoli odnajdując drogę w ciemności. Michelle zaprzestała walki.

Myśl, że mogłaby upaść na podłogę w ślad za świeczką, pohamowała jej wysiłki. Ścisnęła bluzę Steve'a, czując się dziwnie dezorientowana w nieprzeniknionym mroku.

Steve rzucił ją na łóżko. Zwinny niczym kot dopadający swej ofiary, przykrył Michelle kołdrą, oplątując ją nogami i ramionami.

- Puszczę cię, jeśli obiecasz, że nie będziesz próbowała uciec. Przysięgam, że nie musisz się mnie obawiać - zamruczał miękko, kusząco. - Nawet gdyby spalał mnie ogień pożądania, niewiele mógłbym zdziałać. Żadne z nas nie jest właściwie ubrane na tego rodzaju miłosną przygodę ani też rozebrane, co mogłoby być bardziej odpowiednie.

- Dobrze - szepnęła. - Zostanę, ale puść mnie. - Trzymał Michelle mocno i jego męska siła niweczyła wszelkie próby obrony. Jeśli nie uwolniłby jej natychmiast, mogłaby wkrótce sama błagać go, by tego nie robił.

Steve cofnął powoli ramiona i nogi, wyciągając się na plecach obok niej. Michelle odwróciła się tyłem do niego, odsuwając się na sam brzeg łóżka. Przez kilka chwil leżeli w milczeniu.

- Michelle, czy mógłbym zadać ci osobiste pytanie? - Jego głęboki głos zabrzmiał niespodziewanie żarliwie.

- Zapytaj, ale mogę nie odpowiedzieć - odparła ostrożnie.

- Czy byłaś kiedyś zgwałcona?

- Co takiego? - zawołała zdumiona. - Nie! Dlaczego pytasz?

- Twoja reakcja na konieczność spędzenia nocy ze mną była, mówiąc delikatnie, bardzo żywiołowa. Pomyślałem, że może nie chodziło ci o mnie, ale o sam fakt, że miałby nocować tu mężczyzna.

- Jest to dla ciebie nie do pojęcia, że mogę woleć samotność? - Michelle wybuchnęła gniewem. - Za bardziej prawdopodobne uważasz przypuszczenie, że jestem ofiarą przestępstwa niż to, że nie mam ochoty zapraszać mężczyzny do łóżka na pierwszej randce? Mężczyzny, mogłabym dodać, który nie ukrywał od początku, że jest uczulony na wszelkiego rodzaju związki i zobowiązania, mężczyzny, który spędził zbyt wiele nocy w zbyt wielu miastach ze...

- Michelle, mówiliśmy już o tym - przerwał jej ostro. - Nie powtarzajmy się.

Raz jeszcze odwróciła się do niego plecami, nic nie odpowiadając.

- Michelle? Westchnęła zniecierpliwiona.

- Tak?

- Cieszę się, że nie byłaś zgwałcona - powiedział cicho. - Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby zranić cię w ten sposób. Możesz wierzyć lub nie, ale wolę, byś czuła awersję do mnie, niż żeby spotkało cię... coś takiego.

Ciepło, które ogarnęło ją nagle, nie miało nic wspólnego z okrywającą ich puchową kołdrą.

- Nie czuję do ciebie awersji - odparła łagodnie. -- Po prostu... nie jestem chyba przyzwyczajona do spania z kimś. W każdym razie dawno już tego nie robiłam. Kiedy jako dziecko odwiedzałam tatę, spałam z moją przyrodnią siostrą Courtney. Ale odkąd dorosłam...

- Czy nigdy, hm... nie spałaś z kimś innym? - przerwał jej zaniepokojony Steve. - Nie chodzi mi o przybrane siostry, mam na myśli... - urwał na chwilę, wziął głęboki oddech i dokończył - mężczyzn. Rozumiesz, młodzieńcze miłości, kochankowie. - Zdał sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy wypytuje kobietę o jej przeszłość. Nigdy nie był na tyle kimkolwiek zainteresowany.

- Mężczyźni, młodzieńcze miłości, kochankowie - powtórzyła Michelle tonem równie lodowatym jak temperatura na zewnątrz. - Pytasz mnie, czy sypiałam z wieloma mężczyznami.

- Nie, nie, oczywiście, że nie! -zaprzeczył przerażony Steve. Taka gafa była zupełnie nie w jego stylu.

-Ja... tylko... - Zrozumiał nagle, że jedynym wyjściem z sytuacji może być całkowita zmiana tematu. - Jak liczna jest w ogóle twoja rodzina? - zapytał nieoczekiwanie. - Wspomniałaś o siostrach, braciach, rodzicach, przybranym rodzeństwie. Nie potrafię się w tym połapać. Gdyby w pokoju było choć trochę jaśniej, Steve zobaczyłby, jak Michelle wznosi w górę oczy. Zbyt jednak pragnęła porzucić temat mężczyzn, chłopców i kochanków. Przyznanie się przed takim królem sypialni jak Steve Saraceni, że jej doświadczenia łóżkowe ograniczały się do spania z przybranymi siostrami i kotem, byłoby ogromnie upokarzające. I wyjawiające zbyt wiele. Postanowiła przyjąć ofiarowaną gałązkę pokoju.

- Moje powiązania rodzinne to prawdziwa łamigłówka - mruknęła. Nie czuła już takiego przerażenia i zdenerwowania. W gruncie rzeczy leżeć z nim w łóżku i rozmawiać było całkiem przyjemnie.

- Zaczniemy od Cathy, Warrena i Haydena, moich rodzonych siostr i braci. Chodzili już do szkoły, kiedy pojawiłam się ja.

- Zrobiłaś niespodziankę rodzicom?

- Nie, byłam nie przewidzianym, nie planowanym, nie chcianym dzieckiem - wyjaśniła Michelle. - Rodzice zamierzali się rozjeść. Byli u prawnika, mieli już potrzebne dokumenty, kiedy mama...

- ...stwierdziła, że jest w ciąży - dokończył Steve. - A to dopiero pech!

- Moje pojawienie się przedłużyło ich małżeństwo o dwa nieszczęśliwe lata - ciągnęła Michelle. -Wreszcie rozwiedli się i tata poślubił Kate, wdowę z trójką dzieci, Markiem, Ashlinn i Courtney.

- Coś takiego! Poślubić wdowę z trójką dzieci! - zdumiał się Steve. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Ty w ogóle nie potrafisz wyobrazić sobie poślubienia kogokolwiek - stwierdziła oschle Michelle.

- Nie mówimy o mnie. Miałaś pomóc mi rozwiązać skomplikowaną łamigłówkę dotyczącą niezwykle licznej rodziny Careyów, zapomniałaś?

- Skoro nalegasz... Moja mama wyszła za Tima Lowella, który był rozwodnikiem z dwójką dzieci, Lonniem i Lisa. Kiedy miałam osiem lat, mama urodziła bliźniaki Debbie i Donnę, moje przyrodnie siostry.

- A czemu twój tata i wdowa Kate nie mieli ze sobą dziecka? Wydaje się, że rodzenie dzieci jest dobrze widziane w twojej rodzinie.

- Próbowali. Kate poroniła kilka razy. Najwyraźniej nie było im to sądzone.

- Założę się, że byłaś z tego zadowolona - wyrwało się Steve'owi.

- Zdaje się, że odkryłeś najbardziej wstydlivy sekret mego dzieciństwa - potwierdziła Michelle. Wyglądało na to, że Steve doskonale ją rozumie, co zachęcało Michelle do zwierzeń.

- Wiedziałam, że w żadnym z domów nie jestem nikim wyjątkowym. Byłam po prostu dzieckiem jednym z wielu i niczym się nie wyróżniałam.

Jedna z wielu. Nikt wyjątkowy, niezwykły, niepowtarzalny. Słowa Michelle opisujące jego stosunek do kobiet odezwały się teraz echem w pamięci Steve'a. Gwałtownie usiadł na łóżku. Będąc z nim, czuła się jak mała dziewczynka. Kolejny brzdąc wśród wielu innych dzieci. Nic dziwnego, że wyobrażenie sobie siebie samej jako kobiety wśród zbyt wielu innych kobiet tak ją rozzłościło. Steve był odrobinę zdziwiony, ale i dumny z dokonanego przez siebie odkrycia.

Zaczynał rozumieć Michelle! Było to dla niego całkiem nowe doświadczenie.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Michelle, także podnosząc się.

Steve zdał sobie sprawę, że oboje siedzą teraz na łóżku.

- Och, nic takiego. To tylko skurcz. - Położył się.

- Chcesz aspirynę? - spytała z troską w głosie.

- Nie, już jest lepiej. Połóż się. Michelle wtuliła się w miękką kołdrę.

- Mam nadzieję, że nie zagubiłeś się w plątaninie moich rodzinnych koligacji - odezwała się cicho. - Większość znajomych przez długi czas nie mogła się w tym połapać. - Zachichotała. - Edowi tak mylą się wszyscy, że...

- Edowi? - przerwał jej Steve. Poczul w sercu dziwne, nie znane mu ukłucie.

- Ed Dineen. Wiesz, senator stanowy. Mój szef.

Długi czas musiał słuchać, jak Michelle z podziwem opowiada o Dineenie. Ed był wspaniały, szlachetny i sumienny. Niezwykle uczciwy i lojalny. Dowcipny, uważny, wrażliwy.

Steve wiercił się niespokojnie. Nigdy w życiu nie był o nikogo i o nic zazdrosny. Nie miał takiej potrzeby. Przy jego pewności siebie życie układało mu się zawsze w nieprzerwane pasmo sukcesów.

- Dineen nie jest żonaty? - zapytał z przekąsem Steve.

- Ależ tak - odparła Michelle, wciąż promieniejąc entuzjazmem. - Jego żona, Valerie, jest po prostu cudowna. Mają dwójkę wspaniałych dzieciaków, Teddy'ego i Danielle. Valerie i Ed także ukończyli Penn State. Tam się spotkali. Ed należał do uczelnianej drużyny koszykówki. Wciąż jest jej zagorzałym kibicem.

Radosna opowieść Michelle o Valerie i dzieciach naprawiła odrobinę nastrój jej słuchania.

Steve znał jednak zbyt wiele kobiet, które poświęciły życie dla swych szefów, patrząc na nich przez zamglone podziwem oczy.

- Odnoszę wrażenie, że praca jest dla ciebie bardzo ważna - zauważył Steve bez uśmiechu.

- O tak, kocham tę pracę. To najważniejsza rzecz w moim życiu - potwierdziła żarliwie Michelle. - Fascynuje mnie sposób funkcjonowania rządu, procedury prawne, mechanizmy kierujące polityką. A ciebie nie?

- Cóż, tak - przyznał Steve bez zapału.

Była to dla nich obojga noc szczególna. Po raz pierwszy Steve spał z kobietą jak z siostrą; po raz pierwszy Michelle pozwoliła jakiemukolwiek mężczyźnie dzielić z nią łóżko.

Obudzili się późno. Pomiędzy nimi, zwinięty w kłębek, leżał Burton. Wciąż nie było prądu i w mieszkaniu panował straszny ziąb. Samochód Steve'a stał nieruchomo na parkingu przysypany białym pyłem.

Jedyne, co Steve i Michelle mogli zrobić, to uciec z powrotem do łóżka, zabierając ze sobą kanapki. Spędzili tam cały dzień, jedząc i rozmawiając. Zadziwiająco wiele mieli sobie nawzajem do powiedzenia i nadzwyczaj łatwo przychodziło im rozmawiać ze sobą.

Prąd włączono dopiero o dziewiątej wieczorem. W tym samym momencie dotarła do nich fala ciepłego powietrza i zapłonęły wszystkie światła w salonie. Steve i Michelle leżeli skuleni pod kołdrą.

- Jest prąd! - zawołała Michelle radośnie, jej odczucia były jednak bardzo złożone. W pewnym sensie odczuła ulgę. Niezwykle ciężko było radzić sobie bez elektryczności w mieszkaniu, w którym wszystkie urządzenia działały na prąd. Z drugiej jednak strony poczuła żal. Awaria prądu dała jej szansę przebywania ze Steve'em. To była wyjątkowa okazja. A teraz wszystko się skończyło.

Zanim wstała, zerknęła w stojące na nocnym stoliku lustro. Przeraziła się, widząc swoją wygniecioną bluzę, potargane włosy i zarumienioną twarz pozbawioną makijażu. Dotąd nie miało znaczenia to, że spędziła cały dzień ze Steve'em, przez moment nawet nie myśląc o własnym wyglądzie. Teraz ogarnął ją nagły wstyd i najchętniej schowałaby się pod kołdrę. Wydawało się, że powrót do cywilizacji zmienił wszystko.

Steve wyczuł jej konsternację. Zastanawiał się, czy nie udałoby mu się namówić Michelle do spędzenia z nim także i tej nocy. Tym razem przy działającym ogrzewaniu. I bez trzech warstw ubrań. Dzisiejszej nocy nie potrzebowaliby żadnej odzieży.

W tym momencie Michelle odwróciła się, by zobaczyć jego drapieżny uśmiech.

- Powinniśmy sprawdzić, czy twój samochód wciąż jest zablokowany na parkingu - powiedziała, czując nagły przypływ energii. Wkładała już płaszcz, zanim Steve zdążył usiąść. Wreszcie westchnął z rezygnacją.

- Nie musisz wychodzić, Michelle. Ja sprawdzę. - Naturalnie stwierdziłem, że mój samochód tkwi w ogromnej zaspie, obiecał sobie Steve.

Michelle napotkała jego wzrok.

- Z przyjemnością pójdę z tobą - oświadczyła stanowczo.

Poszli na parking, który okazał się już odśnieżony i posypany solą. Niezawodny, niczym sanie na kole podbiegunowym, wóz Steve'a lekko ruszył z miejsca. Steve był wolny i nie miał już żadnego pretekstu, by nie wracać do domu.

- Mógłbym zostać u ciebie - odezwał się. Nie starał się ukryć płonącego w jego wzroku pożądania.

- Żeby spać na kanapie w salonie pod bawełnianą narzutą? - zapytała z uśmiechem Michelle. O niczym innym nie mogło być mowy. Gdyby pozwoliła mu kochać się ze sobą, dopisałby tylko jej imię na liście swych zdobyczy i szybko o niej zapomniał. Michelle zbyt mocno stąpała po ziemi, by łudzić się, że spędzona z nią miłosa noc zmieni jego filozofię życia.

Steve potrząsnął głową, spoglądając na dziewczynę ze swoim nieodgadnionym uśmiechem.

- Przepraszam, kochanie, ale jestem za stary na piżamowe przyjęcia - powiedział z odrobiną żalu w głosie. - Ze mną może być tylko wszystko albo nic.

Michelle kiwnęła głową.

- Wiem. Ujął jej dłonie.

- Jesteś dobrym kumplem, Michelle. - To prawda, zdał sobie teraz sprawę. Nie marudziła, nie narzekała na zimno i niewygody. - Jeśli kiedyś będę w miejscu pozbawionym prądu, mam nadzieję, że będziesz tam ze mną.

Jej oczy nieoczekiwanie napelniły się łzami.

- Ja też - powiedziała z trudem, odwracając wzrok.

Steve cmoknął ją szybko w czoło, pożegnał się i już go nie było. Naprawdę nie mógł postąpić inaczej, przekonywał sam siebie w drodze do domu. Lubił Michelle, była wspaniałą dziewczyną, ale nie w jego typie. Była zbyt błyskotliwa, dowcipna, słodka, ciepła, lojalna, seksowna i interesująca...

Potrząsnął głową. Zaczynał wpadać w depresję. Zdecydowanie nadszedł już czas, by odwrócić bieg wydarzeń. Michelle naprawdę nie była w jego typie. Wydawała się zbyt inteligentna, energiczna, surowa, oschła, apodyktyczna, nietolerancyjna. Przejawiała też zdecydowanie typowo kobiece upodobania, mimo swego oddania wykonywanej pracy. Ani przez moment nie wątpił, że pragnęła znacznie więcej, niż on był w stanie jej dać; marzyła o obrączce, dziecku, domku na przedmieściu.

Nie miał ochoty na wywołujące klaustrofobię życie w domowym zaciszu. Jeszcze nie! Noc spędzona z Michelle Carey nie była warta dożywotniego wyroku małżeńskiego, którym musiałby za te chwile zapłacić!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Luty

- Goście dzisiaj dopisali - zauważyła Michelle, wraz z innymi pracownikami biura Dineena przyglądając się eleganckiemu zgromadzeniu. Znajdowali się w odrestaurowanym budynku nad brzegiem rzeki Susquehanna, który Dineen wynajął na przyjęcie.

- Szczerze mówiąc, pomysł Valerie, by w Dniu Zakochanych ogłosić, że Ed ma zamiar powtórnie kandydować w wyborach, wydał mi się odrobinę w złym guście - oświadczyła Leigh Wilson. - A zaproszenia przyklejone na wyciętych z papieru czerwonych sercach wyglądają po prostu koszmarnie.

- Jednak wszyscy zaproszeni są tutaj - odezwała się Claire Collins.

Leigh zmarszczyła brwi.

- Szkoda, że Valerie nie umiała wykazać ani krzty umiaru przy planowaniu dekoracji. Zawiesiła u sufitu chyba z milion tych piernikowych serc. Wszyscy o nich mówią. To śmieszne.

- Valerie jest bardzo pomysłowa - oświadczyła lojalnie Michelle.

- Valerie Dineen mogłaby przymocować u sufitu herbatniki dla psów, a ty i tak byłabyś tym zachwycona - westchnęła z rezygnacją Leigh. - Uważasz, że wszystko, co ona robi, jest fantastyczne. Gdybyś okazała choć odrobinę obiektywizmu, dostrzegłabyś, że w wielu wypadkach Valerie ogromnie ogranicza Eda. Nie kwapi się do wygłaszania przemówień, ponieważ nie umie tego robić. Wciąż jeszcze nie zrzuciła kilku kilogramów po ostatnim dziecku i...

- Jest żoną Eda - przerwała jej ostro Michelle. - Jest miła, nieśmiała i on ją uwielbia. Wybacz, ale spostrzegłam kogoś, z kim chciałabym się przywitać.

Michelle odeszła tak wzburzona uwagami Leigh Wilson, że nie zauważyła nawet mężczyzny w ciemnym garniturze, który stanął na jej drodze, dopóki na niego prawie nie wpadła.

- Hola! Gdzie się pali? - zawołał rozbawiony Steve.

- Och, bardzo przepraszam. Zdaje się, że nie patrzyłam, dokąd idę. - Michelle była dumna, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie, a uśmiech wydawał się tak uprzejmy i oficjalny.

Steve Saraceni nigdy nie dowie się, że serce podeszło jej do gardła na sam jego widok, a żołądek wciąż jeszcze był boleśnie skurczony. Michelle zirytowała ta niezwykle żywiołowa reakcja jej organizmu na spotkanie ze Steve'em. Ułynęły trzy tygodnie od tej pamiętnej nocy, kiedy zaskoczyła ich śnieżycą, i przez cały ten czas Steve nie dał znaku życia. Nie spodziewała się tego, przyznawała w duchu. Jednak przez wiele dni żyła w stanie oczekiwania na jego telefon. Teraz zrobiła krok, chcąc go wyminąć, lecz Steve zablokował jej drogę.

- Wyglądasz wspaniale, Michelle - powiedział, a w jego wzroku widziała szczerzy podziw. - W czerwieni jest ci do twarzy.

- Valerie Dineen poprosiła cały zespół, by każdy z nas miał na sobie coś w czerwonym kolorze, by podkreślić charakter tego przyjęcia - wyjaśniła chłodno Michelle.

- Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie na dzisiejszy wieczór. - Deklaracja Steve'a zabrzmiała zadziwiająco szczerze. - Lubię Eda Dineena. Inżynierowie prawodawstwa z chęcią

wesprą jego kampanię.

Jako członek skipy Dineena, Michelle wyrecytowała właściwą na tę okazję formułkę:

- Jestem pewna, że senator Dineen jest wdzięczny za to wsparcie.

Steve uśmiechnął się.

- Ed to świetny facet. Spotkałem go kilka tygodni temu i zjedliśmy razem lunch.

- Tak, słyszałam. Edowi sprawiło ogromną przyjemność, że rozpoznałeś w nim gwiazdę uczelnianej drużyny koszykówki - powiedziała oschle Michelle. Była pewna, że przypadkowe spotkanie z Edem na schodach Capitolu zostało starannie zaplanowane przez Steve'a. Sprawilo jej jednak przykrość, gdy dowiedziała się, że przy tej okazji Steve wykorzystał usłyszane od niej informacje na temat kariery sportowej Dineena. Spojrzała znacząco na zegarek.

- Muszę bieć. Miło było cię spotkać. - Jej ton i wyraz twarzy mówiły wyraźnie, że nie jest w tym momencie szczerą. Ruszyła szybko w stronę szatni.

- Wychodzisz tak wcześnie?

Michelle nie zadała sobie trudu, by odwrócić głowę. Wiedziała i tak, że to głos Steve'a zabrzmiał nagle ponad jej ramieniem.

- Nie jestem tu dłużej potrzebna - odparła szorstko. - Pokazałam się. Ed jest zajęty i mogę już wyjść z przyjęcia.

- Czy wybierasz się dziś na randkę? - naciskał Steve.

- Oczywiście, że nie - odparła lodowatym tonem. - To przecież środek tygodnia. - Nawet weekendowe randki stanowiły dla niej rzadkość; spotkania w środku tygodnia były nie do pomyslenia.

- To nie jest wcale takie niedorzeczne pytanie. Mamy dziś Dzień Zakochanych - przypomniał jej Steve.

- Tak, rzeczywiście. To naturalnie wielkie święto dla ciebie. Jestem pewna, że ty sam znacznie przyczyniasz się do wzrostu sprzedaży kartek z życzeniami i słodczy w tym dniu. Przecież masz narzeczony aż w czterech miastach.

Steve uśmiechnął się. Jego kredo brzmiało: kiedy nie wiesz, co zrobić, uśmiechaj się.

- Skoro więc żadne z nas nie jest dziś umówione, czemu nie mielibyśmy pójść gdzieś razem?

Michelle była nieugięta.

- Nie, dziękuję. - Pośpiesznie odwróciła się od niego.

Steve podążył za nią, wciąż z uśmiechem na ustach.

- Czemu nie? - Jego głos brzmiał teraz nisko i kusząco. - Sądziłem, że jesteśmy kumplami, Michelle.

Michelle odebrała płaszcz i szybko wsunęła ramiona w rękawy, nie przyjmując pomocy ze strony Steve'a.

- Mylisz się - odparła słodko, kierując się do wyjścia. - Nie jesteśmy kumplami. Dobranoc.

Steve patrzył za nią. Po chwili zdał sobie sprawę, że jego usta są szeroko otwarte. Niełatwo było mu się uśmiechać. Michelle dała mu odprawę, jakiej nigdy jeszcze nie dostał.

Po powrocie do domu Michelle ledwie zdążyła usiąść na kanapie tuż obok drzemiącego Burtona, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. W progu stał najbardziej nieoczekiwany gość: Steve Saraceni z ogromnym pudełkiem w kształcie serca, w którym mogły być jedynie czekoladki.

Michelle wybuchnęła śmiechem.

- Chyba żartujesz!

Steve odchrząknął. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Chciałem ci to dać - oznajmił niepewnie, podając pudełko.
- Czy kupujesz je hurtowo, na tuziny? A potem wozisz w samochodzie, żeby zawsze były pod ręką, gdy dostrzeżesz po drodze potencjalną walentynkę?

Steve skrzywił się.

- Rzeczywiście kupiłem ich sporo, ale nie z powodów, o których myślisz. Rozdaję słodczy sekretarkom i recepcjonistkom w różnych biurach senackich i parlamentarnych. Dla wielu z nich jest to jedyny prezent, jaki tego dnia otrzymują.
- Rozumiem. Rozdajesz słodczy sekretarkom, by mieć później łatwiejszy dostęp do ich szefów, nieprawdaż?
- Odpowiednie kontakty to sekret powodzenia - potwierdził Steve.
- Ty zaś możesz nawet odpisać koszty zakupu słodczy od podatku, ponieważ to wydatek związany z wykonywaną pracą. Mam jedno pytanie. Jak to się stało, że przyniosłeś czekoladki dla mnie? Czyżbym miała mieć swój wkład w twoje walentynkowe odliczenie podatkowe?
- To już dwa pytania - skrupulatnie poprawił ją Steve. Co tu robię? zastanawiał się. Nie miał na to odpowiedzi; pojechał za Michelle powodowany impulsem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Cóż, dziękuję za czekoladki. Na pewno będą mi smakowały. - Chciała zamknąć drzwi. Steve wcisnął ramię do środka, nie mając zamiaru ustąpić.

- Nie zaprosisz mnie?

- Przykro mi, ale dzisiaj nie pada śnieg i z elektrycznością także wszystko w porządku.

Westchnął ciężko.

- Och, Michelle, nie bądź taka nieuprzejma. Było nam przecież dobrze razem. Dlaczego nie możemy...

- ...wrócić do miejsca, w którym się pożegnaliśmy? - zapytała Michelle z jadowitą słodyczą w głosie

- Trzy tygodnie temu?

- Już tyle czasu minęło? - Wydawał się szczerze zdziwiony. - Byłem naprawdę zajęty, w jeden weekend pojechałem na mecz Super...

- Steve, nie musisz się przede mną tłumaczyć - przerwałamu chłodno. - Chciałam tylko powiedzieć, że skoro upłynęły trzy tygodnie bez jakiegokolwiek wiadomości od ciebie, nie możesz oczekiwać, że...

- Naprawdę myślałem o tobie - wyrwało się Steve'owi.

- O tak, jestem pewna, że myślałeś o mnie równie często, jak ja o tobie - odparła Michelle cierpko, zadowolona z tonu swego głosu. Zabrzmiało to chłodno i lekceważąco, jakby rzeczywiście nawet o nim nie pomyślała. Nie miała zamiaru informować go, że było całkiem inaczej.

Steve zmarszczył brwi. Myślał o niej zdecydowanie za często. Przeraziło go to na tyle, że świadomie postanowił trzymać się od Michelle z daleka.

- Dobranoc, Steve - powiedziała stanowczo. By podkreślić swoje słowa, z chęcią zatrzasnęła drzwi, Steve tkwił jednak uparcie w progu, blokując je.

Steve nie umiałby powiedzieć, co jeszcze zatrzymuje go tutaj, nie poruszył się jednak.

- Jesteś najbardziej nieprzyjazną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - powiedział oskarżycielskim tonem.

Niebieskie oczy Michelle zapłonęły.

- W twoich ustach brzmi to jak komplement.

- To śmieszne! - wybuchnął Steve. Najwyraźniej nie potrafił się opanować. Ta kobieta drwiła z niego, klóciła się z nim i rozwścieczała go. - Co ja tu jeszcze robię?!

Jego pytanie było w zasadzie retoryczne, Michelle pośpieszyła jednak z odpowiedzią.

- Próbujesz wcisnąć mi resztkę swoich walentynkowych czekoladek w daremnej nadziei, że ułatwię ci dostęp do Eda Dineena. Właśnie to robisz.

Gniew dodał mu energii niczym nagły zastrzyk adrenaliny. Kiedy chwilę później chwycił Michelle mocno, przyciągając do siebie, wydawał się równie tym zdumiony jak ona.

- Jesteś niemożliwa! - zawołał przez zaciśnięte zęby. - Doprowadzasz mnie do szału!

Żadne z nich nie zwróciło uwagi, że pudełko ze słodyczami upadło na ziemię. I zanim Michelle zdążyła pomyśleć, poruszyć się, czy odetchnąć, jego wargi otwierały już jej usta w twardym, namiętym pocałunku. Walczyła, chcąc wyrwać się z jego objęć, lecz nadaremnie. Trzymał ją w żelaznym uścisku, oplatając udami jej uda, przygniatając ją do siebie, miażdżąc zachłannie wargami jej usta.

Michelle zapomniała o rozsądku, gdy rozkosz rozplynęła się gorącą falą po całym ciele. Nie wiedziała, jak i kiedy, lecz w pewnym momencie przestała walczyć, poddając się emocjom, niewidzialnej sile, która zdawała się pchać ich ku sobie.

Wygięła się, oplatając ramionami jego szyję. Jej piersi nabrzmiały, dotykając twardego torsu mężczyzny. Jego uda, gorące i mocne, napierały na jej biodra, lecz Michelle wciąż wydawało się, że dzieli ich zbyt wiele.

Wiedziona instynktem, wila się w objęciach Steve'a, chcąc być jeszcze bliżej niego. Ich pocałunki stały się dłuższe, gorętsze i bardziej zmysłowe. Jej ręce wędrowały po napiętych mięśniach barków i pleców Steve'a. Michelle nie myślała nigdy, że pieszczenie kogoś może być tak cudowne. Było to niemal tak przyjemne i podniecające jak bycie pieszczonym.

Błądząc wciąż dłońmi po piersiach Michelle, nie odrywając warg od jej ust, Steve powoli zaczął cofać się od drzwi. Oboje byli tak zajęci sobą, że Burton zdołał nie zauważony przemknąć do przedpokoju, by wyrzeć przez uchylone drzwi na korytarz. Przeciskając się pomiędzy ich nogami, kot wymknął się wreszcie na wolność, triumfalnym miauknięciem oznajmiając o swym odejściu.

Michelle zareagowała natychmiast na ten dźwięk. Wyrwała się z objęć Steve'a i wybiegając na korytarz, zdołała jeszcze dojrzeć ogon Burтона pędzącego po schodach.

- O, nie! Burton, wracaj! - Krzyk Michelle odbił się echem w całym domu, gdy ruszyła w pogoń za swym ulubieńcem.

Steve spoglądał przed siebie nie widzącym wzrokiem. Czuł się oszołomiony i dezorientowany. Minęło trochę czasu, zanim zdołał przyjść do siebie. Wreszcie, z ciężkim westchnieniem, podążył za Michelle. Odnalazł ją na końcu korytarza.

- Nie wiem, dokąd poszedł! - rozpaczła, rozglądając się na wszystkie strony. - Nie wróci na wołanie. Jest taki ciekawski! Po raz pierwszy wyszedł z domu beze mnie.

Steve spoglądał na Michelle. Wydawała się szczerze zmartwiona. W jej niebieskich oczach błyszczały łzy i widać było, że drży.

- Wróci, gdy znudzi go ta wycieczka -uspokajał ją. - Wiesz, jakie są koty, przychodzą i odchodzą, kiedy się im podoba.

- Nie. - Michelle potrząsnęła głową, powstrzymując łkanie. - Burton nie zna tego terenu.

Muszę odnaleźć go, zanim wydobędzie się z budynku i zaginie na dobre. - Ruszyła po schodach, potem przystanąła.

- Pomożesz mi, Steve? - Proszę! - zawołała błagalnym tonem. - Ja poszukam go na drugim i trzecim piętrze, ty mógłbyś sprawdzić, czy nie ukrył się w suterenie lub na parterze. A jeśli drzwi wejściowe będą otwarte...

- Zamknę je - dokończył za nią Steve. - Michelle, przestań się martwić. Znajdziemy go - mówił dalej, lecz dziewczyny już nie było.

Nie śpiesząc się zbyt, Steve sprawdził parter i ruszył do sieni. Z daleka zobaczył sylwetkę osoby wychodzącej z budynku. Zmarszczył brwi. Czyżby kot skorzystał z tej szansy ucieczki? Na wszelki wypadek otworzył drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

- Hej, kici-kici - zawołał, mając nadzieję, że jego głos wyda się kotu wystarczająco kuszący. Po chwili sam doszedł jednak do wniosku, że brzmi to nadzwyczaj głupio, i nie miał do Burtona żalu, że nie odpowiedział na to wezwanie.

- Na górze nie ma po nim śladu. - Michelle pojawiła się wreszcie blada i zdenerwowana. - Czy wydostał się na zewnątrz? Zawsze podróżował tylko w swoim koszu. Nie wie nic o samochodach i...

- Michelle, uspokój się. Najprawdopodobniej nie wyszedł na zewnątrz, a nawet jeśli...

- Mam go prawie trzy lata. - Michelle płakała teraz, a łzy spływały po jej policzkach szybciej, niż była w stanie obetrzeć. - Kupiłam go, kiedy miał zaledwie cztery tygodnie. Musiałam oszczędzać, by móc pozwolić sobie na ten wydatek. Tak bardzo pragnęłam mieć kota. Jeśli coś mu się stanie...

- Nic mu się nie stanie - oświadczył stanowczo Steve. - Idę rozejrzeć się w suterenie, a kiedy tam będę, ty wystaw przed drzwi jego kosz. Ten znajomy zapach pomoże mu odnaleźć drogę do domu.

Michelle skinęła głową, starając się jednocześnie obetrzeć łzy drżącymi rękami.

- O, tak. To dobry pomysł. Dziękuję. Zrobię to od razu.

Sutereka okazała się długim i mrocznym tunelem pozamykanych drzwi, lecz po kocie nie było tam ani śladu. Steve westchnął zdecydowanie zawiedziony. Wkrótce dołączyła do niego Michelle.

- Wystawiłam przed drzwi kosz Burtona. Nie ma go tutaj?

- Nie, ale jestem przekonany, że szybko się odnajdzie. Twój Burton jest już pewnie znudzony swoją wielką przygodą.

Próba rozweselenia Michelle nie powiodła się.

- A jeśli nigdy go już nie zobaczę? - szepnęła.

- Michelle, tak się nie stanie - odparł Steve z naciskiem. - Musisz przestać myśleć tak czarno i zacząć...

- To już przydarzyło się kiedyś - przerwała mu łkając. - Mojemu pierwszemu kotu. Był albinosem z różowymi oczami. Miałam go czternaście lat. Któregoś dnia, było to zaraz po maturze, wypuściłam go. Robiłam tak codziennie, lecz wtedy nie powrócił już, kiedy go wołałam.

Westchnęła głośno.

- Nie było go nigdzie. Wszystkie dzieciaki z bloku cały dzień pomagały mi przeszukiwać zakamarki w sąsiedztwie, ale nie znaleźliśmy go. Po prostu zniknął.

- Stare koty tak robią, kiedy mają umrzeć - odezwał się cicho Steve. - Opuszczają dom, odnajdują jakąś kryjówkę i...

- To właśnie powiedział mi weterynarz. Ale niewiele to pomogło. Wciąż myślałam o tym, czy się zgubił, czy cierpiał, czy się bał... - Jej głos załamał się.

- Michelle, chodź do mnie, kochanie. - Steve wziął ją w ramiona. Nie lubił smutnych historii. Jak ktoś otoczony smutkiem może dobrze się bawić? W tej jednak chwili nie potrafił zostawić jej, tak jak nie potrafiłby opuścić w potrzebie którejś ze swych sióstr. Nawet jeśli Michelle, wtulona teraz w jego ramiona, wzbudzała w nim uczucia zdecydowanie dalekie od braterskich. Jego ciało zaczynało już reagować na jej bliskość.

Instynktownie czuł grożące mu niebezpieczeństwo. Zdecydowanie nadszedł już czas, by zaznaczył swój dystans wobec całej tej sytuacji, opowiedział dowcip i poszedł stąd. Nie zrobił tego jednak.

- Kiedy dostałam Burtona, obiecałam sobie, że nie pozwolę mu na samotne wyprawy. Chciałam zawsze wiedzieć, gdzie jest, i mieć pewność, że nic mu nie grozi - mówiła ze smutkiem Michelle, tuląc się do Steve'a, pragnąc jego pocieszenia. - Ilekroć wspominałam Fluffy'ego i jego odejście, czułam ból. Był takim dobrym i wiernym przyjacielem przez czternaście lat. Dopóki miałam swojego kota, wiedziałam, że należą do kogoś i że jest ktoś, komu jestem naprawdę potrzebna, i...

- Michelle, nie - przerwał jej Steve. Rozumiał jej ból i było to nie do zniesienia. Postanowił zaradzić temu natychmiast.

- Znajdziemy Burtona - powiedział stanowczo, biorąc Michelle za rękę i ciągnąc ją prawie za sobą, gdy długimi krokami przemierzał suterene. - Ja przeszukam dokładnie podwórko, podczas gdy ty przejdziesz od drzwi do drzwi po całym budynku. Ktoś mógł zobaczyć go, domyślić się, że kot zgubił drogę i zabrać Burtona. Ale najpierw sprawdźmy w twoim mieszkaniu. - Steve przyciągnął Michelle do siebie, obejmując ją ramieniem.

Jego pewność siebie była zaraźliwa. Może jeszcze nie wszystko stracone, pomyślała Michelle, może jest jeszcze jakaś nadzieja.

Okrzyżyli klatkę schodową i weszli na pierwsze piętro.

- Proszę, proszę, zobacz, kto na nas czeka. - Steve ujął dłonią kark dziewczyny i obrócił jej głowę w kierunku odległego końca korytarza. Syjamski kot siedział w koszu przed drzwiami mieszkania Michelle.

- Burton! - Dziewczyna pobiegła z zawrotną szybkością, by porwać kota w ramiona. -Wrócił do domu! -zawołała, a jej oczy jaśniały radością. Burton miauknął, a potem zaczął mruzczyć głośno, gdy Michelle głaskała go delikatnie. Spojrzała na Steve'a z rozpromienioną twarzą. - Och, Steve, dzięki tobie Burtonowi udało się odnaleźć drogę do domu! - zawołała bez tchu.

-Twój pomysł, by wystawić przed drzwi jego kosz był... wspaniały!

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Podobał mu się sposób, w jaki patrzyła na niego: jej niebieskie oczy rozświetlał podziw, jakby uważała go za bohatera.

Michelle wniosła kota do mieszkania, a za nią kroczył Steve, z dumą dźwigający kosz Burtona. Wypuszczony z objęć, rozradowany kot okrążył kilka razy salon, a potem ruszył w kierunku sypialni. Powodowana impulsem, Michelle odwróciła się do Steve'a i uściskała go mocno.

- Nie wiem po prostu, jak ci dziękować!

Przytrzymał jej ramiona, gdy Michelle chciała się cofnąć.

- Jest sposób, w jaki mogłabyś mi podziękować. Michelle zamarła w bezruchu.

- Jeśli chciałaś zasugerować, że powinnam pójść z tobą do łóżka, by odwdzińczyć się za pomoc...

- Ja niczego nie sugerowałam - przerwał jej Steve bez mrugnięcia okiem. - Uważam jednak za interesujące to, że ty wyszłaś z taką propozycją.

- Na pewno tego nie zrobiłam! - Chciała wyrwać się, lecz Steve użył swej przewagi fizycznej,

by przyciągnąć ją bliżej.

- Nie gorączkuj się tak - zaśmiał się chrapliwie. - Chciałem ci zaproponować wyjazd do Nowego Jorku w najbliższy weekend. Mam zaproszenie na piątkowy mecz Rangersów, a przyjaciel zaoferował mi dwa bilety na ten nowy musical z Londynu, który od niedawna można obejrzeć na Broadwayu. Pojedziesz ze mną?

Michelle napotkała jego wzrok.

- Tak.

- Zgadzasz się? - Steve wydawał się zaskoczony.

- Uwielbiam Nowy Jork. W sobotę po południu będę mogła zrobić jakieś zakupy, a do tego lubię także hokej i musicale. Zapowiada się wspaniały weekend. Zatrzymam się, oczywiście, u mojej siostry.

Patrzył na nią bez słowa.

- Moja przyrodnia siostra Ashlinn mieszka w Nowym Jorku. Jest redaktorką w jednym z czasopism - wyjaśniła Michelle. - Mogę zatrzymać się u niej, kiedy tylko zechcę. Zadzwoń do niej i powiem, że przyjeżdżam.

- Rozumiem. - Bardzo sprytnie udało się tej dziewczynie wyprowadzić mnie w pole, pomyślał Steve.

- Czy twoje zaproszenie na mecz i przedstawienie jest jeszcze aktualne? - spytała niewinnie. - Czy też było to uzależnione od zamieszkania z tobą w jednym pokoju?

- Oczywiście, że jest aktualne. Wydajesz się mieć obsesję na punkcie mojej rzekomej chęci uwiedzenia cię za wszelką cenę. - Świetne zagranie, pogratulował sobie Steve. Z zadowoleniem patrzył, jak policzki Michelle pokrywają się rumieńcem.

Steve zajechał po Michelle o drugiej w piątek. Szybko zapakował do samochodu jej torbę i Burtona bezpiecznego w swoim koszu.

- Zawsze zabieram... - chciała usprawiedliwić się Michelle.

- Wiem, wiem. Gdzie ty, tam i kot twój. - Zastanawiał się, w jaki sposób uda się im przemycić zwierzę do hotelu. Ani przez moment nie wierzył, że Michelle rzeczywiście spędzi noc u swojej przyrodniej siostry.

Ruch na autostradzie był umiarkowany.

- Cieszę się, że już wyruszyliśmy - odezwał się Steve. - Przy tej prędkości może uda się nam uniknąć korków wokół Filadelfii. Czy miałaś jakieś problemy, by wyjść wcześniej z biura?

Michelle potrząsnęła głową.

- Nie było dziś dużo pracy. Komisja zajmująca się trującymi odpadami spotkała się rano, a potem...

- Czy podjęto jakieś decyzje w sprawie lokalizacji terenów niszczenia odpadów?

- Niezupełnie. Zdecydowano jednak, gdzie na pewno nie będą one usytuowane. Na terenach łowieckich i w rezerwatach.

- Jestem też przekonany, że nie będzie żadnego tego rodzaju terenu w okręgu wyborczym Eda Dineena - powiedział Steve z przekąsem.

- Cóż, rzeczywiście nie.

- Ale gotów jestem założyć się, że rozważany jest jakiś teren zlokalizowany w okręgu Joe'ego McClusky'ego.

Michelle spojrzała na niego zaskoczona.

- W tym okręgu rzeczywiście znajduje się teren, który spełnia wszystkie warunki - odparła wolno.

- A jak lepiej zaszkodzić przeciwnikowi, niż wysyłając trujące odpady do jego okręgu? - Steve pokiwał głową. - Słyszałem o rywalizacji pomiędzy Dineenem i McCluskym.

- Jesteś niezwykle cyniczny. - W głosie Michelle zabrzmiała dezaprobata. - Nie tylko okręg McClusky'ego jest brany pod uwagę.

Steve wzruszył jedynie lekko ramionami, tym milczącym gestem zaznaczając swoje niedowierzanie.

- Ależ naprawdę! - krzyknęła Michelle. Chciała, by Steve zrozumiał, że Dineen nie jest jednym z tych podstępnych polityków, którzy pokonują rywali zadając im nieoczekiwany cios w plecy. Na potwierdzenie swoich słów wymieniła jeszcze kilka terenów rozważanych przez komisję, które znajdowały się w miejscach politycznie neutralnych.

Uśmiechając się, Steve zmienił temat, zanim Michelle zdążyła zdać sobie sprawę, że była niedyskretna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przyrodnia siostra Michelle, Ashlinn, mieszkała w zachodniej dzielnicy Nowego Jorku, w starym, dość obskurnym dwunastopiętrowym bloku. Jej mieszkanie znajdowało się na jedenastym piętrze i miało cztery zamki w drzwiach.

- Dobrze, że chociaż winda działa w tym budynku - zauważył Steve, gdy wraz z Michelle szli obdrapanym korytarzem, trzymając się za ręce. Przyglądał się odłóżającym płatom farby i wydeptanemu chodnikowi. - Jesteś pewna, że chcesz nocować dzisiaj w tej ruderze? W moim pokoju w hotelu Plaża są okna wychodzące na Central Park i butelka schłodzonego szampana. Nie wspominając już o możliwości zamówienia w nocy przekąsek do pokoju, a rano śniadania do łóżka.

Michelle przystanęła przed drzwiami Ashlinn.

- Myślałam, że...

- ...zrezygnowałem już z namawiania ciebie, byś zamieszkała ze mną? - przerwał jej domyślnie Steve.

- Skąd przyszedł ci do głowy taki śmieszny pomysł?

Przyciągnął ją do siebie.

- Mogą być jeszcze inne atrakcje, jeśli pójdziesz ze mną. Takie, których z pewnością nie znajdziesz tutaj.

Michelle napotkała spojrzenie Steve'a, palące i natarczywie, ostro kontrastujące z beztróskim tonem jego słów.

- Co na przykład? - zapytała lekko ochrypłym głosem.

Wsunął rękę pod jej luźny sweter.

- To - zamruczał. Całował i pieścił wrażliwą skórę szyi, podczas gdy jego pracowite dłonie wędrowały w górę, by odpiąć haftki stanika ze zręcznością doświadczonego uwodziciela. - I to - wyszeptał, nakrywając dłońmi nagie piersi. Usta muskał jej wargi lekko i kusząco. - W tamtym pokoju jest ogromne, wygodne łóżko. - Kciukami błędził po sterczących, nabrzmiałych sutkach. Delikatnie ugryzł jej wargę. - I ja będę w tym łóżku, Michelle. Pragnę, byś była tam ze mną.

Michelle słyszała, jak w korytarzu echem rozległ się cichy jęk, lecz po chwili dopiero zdała sobie sprawę, że słyszy swój własny głos. Poczła ciepłą wilgoć pomiędzy nogami, gorący węzeł w jej żołądku rozplatał się. Objęła szyję Steve'a, zachłannie przywierając do niego całym ciałem, wnikając językiem w jego usta.

Steve nie pozostawił dziewczynie inicjatywy. Całował Michelle głęboko i zmysłowo, wykorzystując swoje wypraktykowane techniki, by ją rozbudzić. W impulsywnej odpowiedzi Michelle nie było jednak nic wypraktykowanego. Przyłgnęła do Steve'a, całując go z nieprzytomną pasją, odurzając jego zmysły.

Dopiero głośny zgrzyt starej windy przerwał tę namiętą scenę. Steve spojrzał na Michelle. Jej niebieskie oczy zasnuwała mgła podniecenia, pierś falowała gwałtownie. Nie mogąc oprzeć się pokusie, Steve obrysował koniuszkiem języka zarys jej ust, wilgotnych i lekko obrzmiałych od pocałunków.

- Michelle - zaczął ochryple. - Kochanie, ja...

- Muszę wejść - odparła szybko, naciskając dzwonek. - Ashlinn czeka na mnie.

Drzwi otworzyły się szeroko i Michelle odwróciła się, by powitać siostrę. Steve z trudem opanował się i uśmiechnął.

- Chyba już pójdę - odezwał się niecierpliwie. Miał wrażenie, że w każdym momencie jego ciało może eksplodować. Potrzebował zimnego prysznica i to szybko. - Zadzwoń do ciebie jutro, Michelle.

Michelle skinęła głową, starannie unikając jego spojrzenia.

- Michelle i ja wybieramy się jutro na zakupy, więc zadzwoń przed dziesiątą lub po czwartej - zarządziła Ashlinn.

- Sądziłem, że spędzimy jutrzejszy dzień razem. - Steve wydawał się wyraźnie niezadowolony.

- Możesz pójść z nami na zakupy - zaproponowała Michelle.

- Na zakupy? - przeraził się. Zakupy, a zwłaszcza zakupy z kobietami to coś, czego za wszelką cenę należało unikać. - Nie, lepiej idźcie. Ja znajdę sobie coś innego do roboty - odparł z męczeńskim wyrazem twarzy. - Dobranoc.

- Twój przyjaciel nie wyglądał na zbyt szczęśliwego - zauważyła Ashlinn ze śmiechem, kiedy weszły już do środka. - Czy to w związku z naszą wyprawą do sklepów, czy też jego drużyna przegrała mecz?

- Chodzi mu o zakupy, bo Rangersi wygrali. - Michelle opadła na miękki, wygodny fotel. Jej twarz płonęła, a każdy nerw ciała drżał od nie rozładowanego napięcia seksualnego. - Mecz był znakomity. Naprawdę świetnie się bawiliśmy. - W zamyśleniu spoglądała przed siebie. - Chociaż Steve i ja często kłócimy się ze sobą, jest nam dobrze razem.

- Założę się, że ten przystojny Steve nie spodziewał się, że będzie musiał odprowadzić cię tutaj dzisiaj - stwierdziła Ashlinn z błyskiem w oku. - Sądził, że uda się mu namówić cię, byś poszła z nim do hotelu. Jestem pewna, że samotna noc będzie dla niego ciężkim przeżyciem.

- Ashlinn zaśmiała się.

- W wojnie płci, Michelle, właśnie wygrałaś dla nas bitwę.

- Nie jestem wojownikiem czy krzyżowcem, Ashlinn. Ja po prostu...

Ashlinn przyjrzała się jej uważnie.

- Michelle, jak bardzo jesteś zaangażowana? Czy już z nim spałaś?

Michelle poruszyła się niespokojnie. Rozmowa o seksie z siostrą była raczej krępująca.

- Nie - mruknęła.

- Obawiam się, że to tylko kwestia czasu - powiedziała szczerze Ashlinn. - Widziałam, jak na ciebie patrzy. On chce cię mieć. Taki sprytny gracz jak on jest przyzwyczajony dostawać wszystko, czego zapagnie od kobiety. Jest to typ mężczyzny, któremu wydaje się, że żadna dziewczyna mu się nie oprze.
 - Ja też mam tutaj coś do powiedzenia - przypomniała jej Michelle.
 - Oczywiście. Ale są siły, które mogą złamać nawet najtwardszą wolę. Seks jest jedną z nich. Michelle westchnęła.
 - Dziękuję, będę o tym pamiętać - odparła obojętnym tonem.
 - Myślisz pewnie, że to, co mówię, brzmi jak tekst z poradnika, których wiele pojawiło się ostatnio w księgarniach. Michelle uśmiechnęła się.
 - To prawda.
 - Rzeczywiście, cytuję tekst z poradnika. Nie jest on jeszcze na liście bestsellerów, ale mam nadzieję, że trafi tam, gdy tylko zostanie wydany. To ja piszę tę książkę, Michelle, lecz obiecuję mi, że nie powiesz o tym nikomu ani słowa.
 - Piszesz książkę! Ashlinn, jakie to ekscytujące! - wykrzyknęła Michelle. - Opowiedz mi o tym - poprosiła z zapalem.
- Ashlinn usiadła na kanapie. Jej oczy błyszczały entuzjazmem.
- Zatytułowałam ją „W sidłach”. Cały pomysł opiera się na tytule. Będzie to zbiór historii kobiet, które znalazły się w sidłach seksu, choć ich partnerzy okazywali się często kłamcami, typami narcystycznymi czy też wyrachowanymi uwodzicielami. Ostatnie rozdziały opowiadać będą o trudnym wyzwaniu się tych kobiet i ich walce o powrót do normalnego życia.
 - Nie chciałabym krytykować twoich planów, ale czy taka książka nie była już kiedyś napisana pod innymi tytułami? Przynajmniej z dziesięć razy?
- Ashlinn zmarszczyła brwi.
- Zawsze znajdzie się miejsce na jedną więcej. Zwłaszcza że opowieści w mojej książce są porywające - prawdziwe historie kobiet zaangażowanych w związki z mężczyznami nieodpowiednimi dla nich pod każdym względem, poza sferą seksu. Seks jest przynętą i sidłami, które trzymają kobietę w beznadziejnym związku, niczym w pułapce. Moje przesłanie brzmi: jeśli seks w danym związku jest udany, kobieta może stać się tak bezbronna i uzależniona od mężczyzny, że nie będzie dla niej ratunku.
 - Ależ to niemożliwe! - zawołała Michelle.
 - Jak najbardziej możliwe - stwierdziła Ashlinn.
 - Przyjemność seksualna jest tak silnym bodźcem, że kobieta nie potrafi oprzeć się mężczyźnie, który daje jej rozkosz. I ani siła woli, ani rozsądek nie mogą jej pomóc. Oczy Michelle były szeroko otwarte ze zdumienia.
 - Czy to kiedykolwiek przydarzyło się tobie? Oy znalazłaś się kiedyś w tego rodzaju związku?
 - Oczywiście, że nie! Czy uważasz mnie za głupią? Moim życiem rządzi rozum, nie hormony. Sądziłam, że ty także jesteś rozsądna, ale teraz nie jestem pewna. Steve Saraceni jest seksualną bombą atomową. Niewiele dzieli cię od totalnej katastrofy.
 - Nie ma takiego niebezpieczeństwa. - Michelle wzięła na rękę Burtona, który zaczynał właśnie zjadać kompozycję suchych kwiatów. - Niemniej dziękuję za troskę.

Kiedy Michelle leżała w nocy na niezwykle niewygodnej kanapie Ashlinn, nie mogąc zasnąć, ogarnął ją nagły niepokój. Prawda była taka, że zaledwie krok dzielił ją od zakochania się w

Stevie Saraceni.

Próbowała walczyć z tym uczuciem, lecz im dłużej znała Steve'a, tym bardziej go lubiła.

Rozmowa z nim stanowiła przyjemność; umiał ją rozśmieszyć; był dynamiczny i inteligentny. I

tak silnie pociągał ją seksualnie, że nie potrafiła nawet myśleć o nim nie czując podniecenia.

Jeśliby dodać do tego wywody Ashlinn o seksie jako przynęcie i pułapce...

W sidłach! Bez pamięci zakochana, potrzebująca mężczyzny, który czuł awersję do wszelkiego

rodzaju stałych związków. Pragnęła kogoś, kto nie szukał miłości, lecz jedynie rozrywki.

Michelle zadrżała. Nie miała ochoty, by jej historia posłużyła Ashlinn za materiał do kolejnego rozdziału.

- Mieliśmy niezwykle udany weekend, prawda?

- Steve rozsiadł się wygodnie na kanapie w salonie Michelle, najwyraźniej nie śpiesząc się do wyjścia. Był niedzielny wieczór i powrócili właśnie do Harrisburga po dwóch dniach spędzonych w Nowym Jorku.

Michelle zerknęła na zegarek. Dziewiąta. Zwykle o tej porze brała prysznic i kładła się wcześniej, by nabrać sił przed kolejnym tygodniem. Patrzyła, jak Steve bierze do ręki niedzielną gazetę i zaczyna czytać.

Burza wątpliwości rozpętała się w jej sercu. Czowała się zobowiązana do uprzejmości, chciała jednak pozbyć się go jak najszybciej. Ponad wszystko jednak wybijało się pragnienie, by raz jeszcze znaleźć się w ramionach Steve'a. Wspomnienia jego pocałunków budziły w niej pragnienie następnych pieszczot. Stała w progu pokoju pełna obawy i niezdecydowania.

- Spójrz na to. - Steve wyciągnął gazetę w jej kierunku. - Wczoraj wybuchł pożar w schronisku dla zwierząt. Większość podopiecznych udało się uratować, lecz zwierzęta nie mają gdzie się podziać, dopóki schronisko nie zostanie odremontowane.

To była najlepsza przynęta. Już po chwili Michelle siedziała na kanapie obok Steve'a, wraz z nim oglądając fotografie bezdomnych psów, kotów, szczeniaków i kociąt.

- Apeluja, by na ten czas każdy, kto może, adoptował jakieś zwierzątko - przeczytała głośno Michelle.

- Zastanawiam się, jak Burton zareagowałby na małego kociaka?

- Na początku może być odrobinę rozdrażniony, ale kociak szybko podbije jego serce - odparł Steve.

- Założę się, że Burton czuje się samotny, gdy znikasz na cały dzień.

- Tak, wiem, że tak jest. Bardzo chciałabym mieć małego kotka.

- A więc pójdziemy tam jutro i wybierzesz towarzysza dla Burtona.

- Chcesz iść ze mną? - spytała z niedowierzaniem. - Dlaczego?

Steve wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie?

Nie umiała nic na to odpowiedzieć. Steve pochylił się w stronę Michelle i ujął jej dłoń.

- Wciąż mi się wymykasz. Jesteśmy tak blisko, a potem nagle zamykasz się, zostawiając mnie na zewnątrz. Jak zeszłej nocy po przedstawieniu. Bawiliśmy się cudownie, nie chcieliśmy, by ten wieczór się skończył, i byłoby rzeczą najbardziej naturalną, gdybyśmy razem spędzili tę noc. Wiem, jak bardzo mnie pragniesz, lecz odsuwasz od siebie tę myśl i...

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie - przerwała mu Michelle. - Dokładnie to samo, słowo w słowo.

- Nie bądź śmieszna. Pójdę z tobą do łóżka, gdy tylko powiesz „tak”. Nawet teraz, jeśli

chcesz. - Wziął jej rękę i przycisnął do swego podbrzusza, tuż ponad napiętą, twardą męskością. - Jestem chętny i gotowy, skarbie.

Serce Michelle zabiło szybciej i gwałtownie cofnęła rękę. Ciepło emanujące z jego ciała sprawiło, że ją samą zalała fala gorąca. Zdając sobie sprawę z pokusy i niebezpieczeństwa przebywania blisko Steve'a, Michelle wstała, odchodząc od niego na bezpieczniejszą odległość.

- Mówisz o mnie i o seksie. Ja zaś o tobie i uczuciu - wyjaśniła cierpliwie. Tak trudno było odsuwać od siebie to, czego tak bardzo pragnęła. - Masz rację. Rzeczywiście pragnę cię, lecz nie pójdę z tobą do łóżka tylko dla samej przyjemności. Ty też pragniesz mnie, lecz jesteś równie niechętny, by... poważnie zaangażować się uczuciowo. Steve także wstał.

- Impas stary jak świat. - Napotkał jej wzrok. - Jeśli nie dasz mi tego, czego potrzebuję, zrobią to inne. Czy tego chcesz, Michelle? Żebym odszedł do innej kobiety?

- To stara śpiewka, Steve. - Spojrzała na niego z politowaniem. - Była znana jeszcze przed napisaniem Starego Testamentu. Proszę, nie próbuj przekonać mnie, że kiedykolwiek odniosłeś sukces dzięki temu małemu szantażowi. Żadna kobieta dzisiaj nie jest aż tak naiwna, by...

- Och, byłabyś zaskoczona - wtrącił Steve. Jego twarz była lekko zaczerwieniona. - Ale punkt dla ciebie, to rzeczywiście stara śpiewka. - Uśmiechnął się. - I szanuję cię za to, że nie dałaś się na nią nabrać.

Michelle potrząsnęła głową.

- Naprawdę jesteś niepoprawny.

- A ty okropnie niesforna, kotku - odparł przekornie. Skierował się do drzwi. - Podejdz tu i pocałuj mnie na pożegnanie, Michelle. A potem pójdę już. - W jego ciemnych oczach błyszczały iskiarki, w słowach pobrzmiwało wyzwanie.

Michelle nie umiała oprzeć się pokusie. Podeszła do Steve'a, wspięła się na palce i szybko cmoknęła go w policzek. Ramiona Steve'a momentalnie zamknęły się wokół jej talii.

- Powiedziałem: pocałuj mnie na pożegnanie - powtórzył wolno. - Ale nie wcześniej.

Jej serce waliło jak szalone.

- Zrobiłam to. - Spoglądała na niego uwodzicielsko spod długich rzęs, ton jej głosu był zdecydowanie prowokujący. Zdumiało ją własne zachowanie. Nigdy nie lubiła flirtować. Skąd więc teraz przychodziło jej to tak łatwo?

Kąciki ust Steve'a wygięły się w leniwym uśmiechu.

- Spróbuj jeszcze raz, kochanie.

Wiedzona impulsem, w gwałtownym porywie, tak obcym jej nieśmiałej i konserwatywnej naturze, Michelle dotknęła ustami jego warg. Steve odpowiedział jej natychmiast.

Chwytał ją mocno. Wargi Michelle były ciepłe, słodkie i namiętne. Owładnięty pożądaniem, przygarnął ją mocniej. Jego twarde mięśnie ocierały się o miękkie, delikatne ciało Michelle. Językiem penetrował jej usta, wnikając w nie wciąż na nowo, rozbudzając jej zmysły.

- To... staje się niebezpieczne. - Drżący głos Michelle wyrwał go z miłostnego zapomnienia.

- Co masz na myśli? - Bawił się leniwie guzikiem jej bluzki.

- Dzieli nas różnica poglądów. Znaleźliśmy się w impasie. Sam tak powiedziałeś.

Steve westchnął.

- Wciąż rozpalasz mnie i gasisz niczym elektryczną żarówkę. Niezwykle skuteczna tortura. Odkąd poznałem ciebie, wziąłem tyle zimnych pryszniców, że mógłbym ubiegać się o honorowe członkostwo Klubu Morsów.

- Po co brać zimne prysznice, skoro jest tyle kobiet, które dadzą ci to, czego chcesz?
- To nie fair rzucać mi w twarz takie wytarte slogany - odparł, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Choć besztła go i krytykowała, budziła w nim dziwną czułość, która dawno już powinna była go zaniepokoić. - Przyjadę po ciebie jutro tuż przed siódmą i wybierzemy się po kotka. W drodze powrotnej możemy kupić coś na kolację w chińskiej restauracji. Na pożegnanie pocałował ją w policzek, a zdumiona Michelle długo jeszcze spoglądała w zamyśleniu na zamknięte za nim drzwi.

- Jak ją nazwiesz? - spytał Steve, patrząc na siedmiotygodniową kotkę, którą Michelle trzymała na kolanach. Burton, przyczojony na przeciwległym krańcu kanapy, obserwował małego intruza. Jego wyprężony ogon wydawał się z osiem razy większy niż zazwyczaj.
- Nie wiem. - Michelle patrzyła, jak kociak pracowicie wspina się po jej kolanach, by dotrzeć do leżącej obok poduszki. Puszysta kulka poturlała się w kierunku starszego kota. Gdy Burton syknął ostrzegawczo, kocię otworzyło różowy pyszczek, pisnęło słabiotko i uciekło na kolana Michelle.

Steve zaśmiał się.

- Nie potrafi nawet porządnie miauknąć, piszczy tylko.

- Squeaky, tak ją nazwę - zdecydowała Michelle. Patrzyła, jak kicia robi kolejne podejście do Burtona, po to tylko, by raz jeszcze zostać odtrącona. - Naprawdę sądzisz, że Burton przyzwyczai się do niej? - spytała z niepokojem.

- Gwarantuję to. Na razie jednak zamykaj kotkę w sypialni, wychodząc do pracy. Tych dwoje może zaprzyjaźniać się przez szparę pod drzwiami. Kiedy będziemy w domu, mogą harcować po całym mieszkaniu.

Kiedy będziemy w domu, powiedział. Michelle spojrzała na niego z zaciekawieniem. Nie zauważył tego przejęzyczenia. A ona nie miała zamiaru zwracać jego uwagi na tę nieścisłość. Kot i kociak były główną atrakcją wieczoru. Dopiero kiedy zwierzęta ułożyły się do snu, oczywiście oddzielnie, Steve zerknął na zegarek.

- Dziesiąta. Chcesz, żebym wyszedł, czy też masz ochotę na rundę zapasów na kanapie, która z pewnością zakończy się dla mnie kolejnym zimnym prysznicem?

- Czy nie byłbyś zdziwiony, gdybym wybrała rundę zapasów? - Starła się, by jej ton był równie bez troski jak jego.

- Zrobiłabyś to chętnie, prawda, Michelle? W rzeczywistości chcesz, bym został, i wiesz, że i ja tego pragnę. Pewnego dnia przyznasz się do tego przed sobą i przede mną.

- A wtedy będziesz mógł postawić krzyżyk przy kolejnym nazwisku i gdzie indziej zwrócić swoje zainteresowanie. Chciałbyś tego, prawda, Steve?

Zaśmiał się.

- Kotku, żyję dla tego wielkiego dnia. Przyjdę jutro wieczorem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodał po krótkim namyśle.

- Przyjdiesz? Dlaczego?

Dobre pytanie, skomentował w duchu Steve.

- Żeby pobawić się z kociakiem - powiedział głośno. - Wyrastałem wśród kotów i brak mi ich teraz.

- Czemu więc nie kupisz sobie kota? - zdziwiła się Michelle.

- To nie byłoby rozsądne. Nie przy moim rozkładzie dnia.

- Zaś sama myśl, że w domu mogłoby oczekiwać na ciebie z utęsknieniem jakiegoś żywe

stworzenie, przyprawia cię o mdłości - dodała chłodno Michelle. Ten mężczyzna nie byłby w stanie przywiązać się nawet do kwiatka, a co dopiero mówić o kocie. Kobieta nie miała żadnych szans.

Kiedy jednak następnego dnia Steve pojawił się przed jej drzwiami z ogromną pizzą, Michelle zaprosiła go do środka. Ucieszyło ją jego przyjście i nie ukrywała tego. Przebywanie z nim zaczęło sprawiać jej radość. Polubiła wspólne oglądanie wiadomości czy zabawę z kotami, a proste czynności, wykonywane wraz ze Steve'em, nabierały nowego znaczenia.

Dni i tygodnie mijały. Przeszedł luty, potem marzec i kwiecień. Ich znajomość wciąż trwała. W każdym tygodniu przynajmniej dwa wieczory spędzali razem. Chodzili na kolacje do cichej restauracji, kupowali coś na wynos lub jedli jakąś prostą potrawę przygotowaną przez Michelle. Czasem oglądali film na wideo, czasami słuchali tylko muzyki i rozmawiali.

Praca Steve'a wymagała uczestniczenia w licznych kolacjach, obiadach, balach i innego rodzaju spotkaniach, na których zwykle bywał sam. Michelle nie miała nic przeciwko temu, rozumiała, że na tym polega specyfika zawodu lobbysty. W czasie weekendów było inaczej.

Przez kilka tygodni Steve kontynuował swoje sobotnio-niedzielne wypady, a Michelle pozostawała w Harrisburgu. Kiedy dzwonił i wpadał do niej w niedzielę wieczorem, co stało się jego zwyczajem, nigdy nie pytała go o to, gdzie był, z kim i co robił. Nie wiedziała, czy spotykał się z innymi kobietami, zaś on nie mówił nic na ten temat. Nie przeszkadzało to Michelle.

Wolała nawet o niczym nie wiedzieć.

Od połowy marca spędzał z nią także piątkowe wieczory; pod koniec miesiąca zaczęli również w soboty wychodzić razem: na kolację, do przyjaciół, do kina czy na przyjęcie.

Im więcej czasu spędzali ze sobą, tym bardziej rosło pomiędzy nimi napięcie seksualne. Ich pocałunki i pieszczoty stawały się bardziej namiętne, bardziej zmysłowe. Steve nie ukrywał, że chciałby się z nią kochać, i często namawiał Michelle do tego, czasem delikatnie, czasem nie, lecz nigdy nie próbował użyć wobec niej siły czy groźby, kiedy odmawiała.

- Walczysz teraz z sobą, nie ze mną - mówił i Michelle wiedziała, że najprawdopodobniej Steve ma rację.

Była w nim zakochana i wszystkie ważne powody, dla których nie chciała, by spali ze sobą, wydawały się mało istotne w porównaniu z jej uczuciem dla niego. Jemu także zależało na niej, była tego pewna.

Gdyby nie liczyła się dla niego, nie spędzałby z nią tyle czasu.

Gdyby była mu obojętna, w jego oczach nie widziałaby tyle ciepła i uczucia.

Gdyby nie zależało mu na niej, bezwzględnie żądałby od niej tak zwanego dowodu miłości. Nie dzwoniłby do niej w te wieczory, których nie spędzali razem, po to tylko, by opowiedzieć o swoim dniu i zapytać, co ona robiła.

Steve jednak robił to wszystko i Michelle kochała go coraz bardziej, coraz silniej go również pożądając. Kiedy będą się kochać, a wiedziała, że jest to już tylko kwestią czasu, to dlatego, że ona sama tego zechce, nie zaś dlatego, że Steve'owi uda się ją uwieść.

Michelle często wyobrażała sobie, że jest jedyną kobietą, która liczy się dla niego, jedyną i prawdziwą miłością jego życia. Powoli zaczęła wierzyć, że to marzenie jest prawdą. Kochała go i była przekonana, że Steve się o tym wkrótce dowie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kwiecień

- Michelle, mówi Steve. - Wiedziała od razu, że coś jest nie w porządku. - Nie będę mógł przyjść dzisiaj.

Michelle cicho jęknęła.

- Och.

- Coś mi wypadło - oznajmił Steve z napięciem w głosie. - Nie wyrobię się.

Przerwał i Michelle czekała, by mówił dalej. Steve milczał. Bez żadnych wyjaśnień odwoływał skromne przyjęcie, które wraz z przyjaciółmi Steve'a zaplanowała na dziś z okazji jego trzydziestych czwartych urodzin.

- Steve, jesteś chory? - spytała z troską.

- Nie. - Jego głos wydawał się dziwnie stłumiony. - Ja... - odchrząknął i dodał chłodno: - Przykro mi, Michelle.

Wystawiał ją do wiatru, oświadczając, bez podania żadnego powodu, że nie przyjdzie na urządzone specjalnie dla niego przyjęcie urodzinowe. Jedyne, co miał do powiedzenia, to „Przykro mi”. A w dodatku nie sprawiał przy tym wrażenia, by było mu szczególnie przykro.

- Mnie również - odparła Michelle. Jej głos brzmiał równie chłodno jak jego. Nic nie zdradzało targającej nią prawdziwej furii. - Ale wzniesiemy toast na twoją cześć i zaśpiewamy „Sto lat”.

Przez chwilę zaskoczony Steve nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa.

- Masz zamiar wydać tę kolację mimo mojej nieobecności?

- Oczywiście. Wszystko jest już przygotowane. Nie widzę powodu, by zmieniać plany w ostatniej chwili.

- Żadnego powodu? - Podniósł lekko głos. - To miało być moje przyjęcie urodzinowe, a mnie nie będzie! Czy to nie wystarczający powód?

- Och, będziesz obecny duchem. Kiedy zapalimy świece na torcie, będziemy myśleć z tobą.

- Przy stole zasiądzie pięć osób - przypomniał jej zjadliwie Steve. - Dwie pary i ty. Nie będziesz czuła się jak piąte koło u wozu?

- Hm, mogę jeszcze zadzwonić do Brendana O'Neala i zaprosić go. Jest zawsze bez gotówki, zawsze głodny i zawsze z chęcią przyjmuje zaproszenia na darmowe kolacje. Tak więc będzie nas sześcioro, parzysta liczba kół.

- Zaprosisz innego mężczyznę, by zastąpił mnie na moim własnym przyjęciu urodzinowym? - Steve był oburzony i nie starał się tego ukryć.

- Brendan nie jest „innym mężczyzną” - odparła Michelle, wyraźnie drwiąc z jego dramatycznego tonu. - To tylko student, który jest akurat moim przyjacielem i...

- Nie oszukuj się, Michelle. O'Neal jest mężczyzną i zaproszenie go do mieszkania jest niedwuznaczną zachętą. A jeśli chodzi o przyjaźń, cóż! Może z twojej strony rzeczywiście, ale nie z jego. Byłem w twoim biurze i widziałem, jak na ciebie patrzy. Wciąż gapi się na twoje nogi i mdleje niemal z zachwytem, kiedy się do niego odezwiesz.

Michelle roześmiała się.

- O ile pamiętam, to nie Brendan, lecz raczej te tępe dziewczyny, z którymi spotykasz się w czterech różnych miastach, mdleją z zachwytem, kiedy sprawisz im zaszczyt i pojawiaasz się, by... rozładować swoje napięcie seksualne.

- Tępa czy nie, jesteś jedyną kobietą, z którą spotykam się od miesięcy - odparował Steve. - Co więcej, odkąd poznałem ciebie, zapomniałem w ogóle, co to seks. Dobry Boże, przecież muszę ścigać cię po całym mieszkaniu, byś zechciała pocałować mnie na dobranoc.

To nie była zbyt dokładna charakterystyka coraz bardziej intensywnych i namiętnych pieszczot,

jakim oddawali się co najmniej dwa razy w tygodniu. Michelle była jednak zbyt zaskoczona nieoczekiwanym wyznaniem Steve'a, by sprostować tę nieścisłość. Nie spał z nikim od stycznia, kiedy się poznali? Nie spotykał się z nikim w początkowych miesiącach ich znajomości, kiedy ponuro sądziła, że interesują go inne kobiety?

Przez długą chwilę w słuchawce panowała cisza. Wreszcie Steve zdecydował się ją przerwać.

- Słuchaj, muszę kończyć - mruknął i odłożył słuchawkę bez pożegnania.

Michelle stała wściekła, zastanawiając się, czy odwołać kolację, czy też zaprosić Brendana, gdy znów rozległ się dzwonek telefonu.

- Michelle, nie odwołuję swojego przyjścia z powodu jakiegoś głupiego kaprysu - oznajmił Steve. Jego głos znów brzmiał spokojnie i rozsądnie jak zawsze. - Miałem nadzieję, że to zrozumiesz, zamiast manifestować swą zaborczość.

- To nie ja, lecz ty stajesz się zaborczy - odcięła się Michelle. - To ty oskarżałeś Brendana O'Neala, że mnie podrywa. I jeśli zadzwoniłeś po to, by ciągnąć tę kłótnię, wołałabym skończyć naszą rozmowę.

- Zasługujesz na to, bym odłożył teraz słuchawkę bez jednego słowa - odparł gniewnie Steve, lecz nie spełnił tej groźby. - Prawda jest taka, że moja rodzina zjawiała się niespodziewanie - mówił dalej, wzdychając ciężko. - Wszyscy są tutaj: rodzice, babcia, Cassie i dzieciaki, Jamie, Rand i dzidzius. Przywieźli pierożki, łazanki, spaghetti, saltine bocca, foccacia i sałatki w ilości wystarczającej do wykarmienia całej armii.

- Powinieneś był powiedzieć mi o tym od razu - odezwała się cicho Michelle. - Oczywiście, że nie możesz ich zostawić. Skontaktuję się z innymi... i wszystko wyjaśnię. Baw się dobrze, Steve - dodała, starając się, by zabrzmiało to radośnie. - Ach, i wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję, kotku. - Znów był pewny siebie i zadowolony; słyszała to w jego głosie. Steve zawsze oczekiwał, że wszystko będzie mu szło gładko i rzadko był rozczarowany. - Naprawdę przykro mi z powodu kolacji - dodał. - Jeśli chcesz, sam zadzwonię do Grega i Patricka, by wyjaśnić sytuację.

- Nie martw się, ja to zrobię.

Zamiast jednak powiadomić o zmianie planów kolegów Steve'a, Michelle zadzwoniła do ich dziewczyn, z którymi zdążyła się już zaprzyjaźnić.

- I nawet nie zaprosił cię, byś zjadła z nimi kolację? - wykrzyknęła Julia, kiedy Michelle powiedziała jej, co się stało. - To drań!

- Nie mogę uwierzyć, że nie zaproponował nawet, żebyś spędziła wieczór z nim i z jego rodziną! - Stacey była zbulwersowana. - Co za bezczelny typ!

Dopiero gdy przeszła fala pierwszego gniewu, Michelle zdała sobie sprawę, jak głęboko Steve zranił jej uczucia.

Jak mogła wmawiać sobie, że zależy mu na niej, kiedy nawet nie pomyślał o tym, by zaprosić ją na rodzinną kolację?

Cóż, pomyślała Michelle, mogę siedzieć tu i rozpaczać jak nieszczęśliwa ofiara uwięziona w sidłach miłości! Ale mogę też sama pokierować swoim życiem. Zdecydowała się na tę drugą ewentualność.

Godzinę po rozmowie ze Steve'em jedzenie zakupione na urodzinową kolację mroziło się w lodówce, Squeaky bawiła się beztrudnie powierzona opiece sąsiadów Michelle, ona zaś sama i Burton pędzili autostradą w stronę Waszyngtonu, gdzie mieszkała przyrodnia siostra Michelle, Courtney.

- Jak minął dzień, Burtie? - zapytała kota Michelle, wchodząc do mieszkania Courtney. Burton

miauknął na powitanie i podążył za nią do sypialni.

- Uważam, że jeden dzień zwiedzania jest bardziej męczący niż czterdziestogodzinny tydzień pracy. - Zrzuciła szybko buty i zdjęła rajstopy. - Zanim wypiję filiżankę herbaty, a tobie przygotuję jakiś koci smakołyk, chcę pokazać ci grafiki, które kupiłam do sypialni.

Burton nie okazywał zainteresowania sztuką. Jego uwaga skoncentrowana była na szarej pluszowej myszce, na którą polował z tym samym przejęciem, jak prawdziwy tygrys w prawdziwym buszu. Oboje byli tak zajęci, Michelle grafikami, Burton polowaniem, że żadne z nich nie zareagowało, gdy dzwonek u drzwi odezwał się po raz pierwszy.

- Kto to może być? - Michelle zastanawiała się głośno. - Courtney nie oczekuje nikogo, wyjechała z miasta. Listonosze nie przynoszą zwykle przesyłek wieczorem.

Spojrzała przez wizjer.

- Steve?

- Oczywiście, że ja. Kogo się spodziewałaś, Świętego Mikołaja? - odparł Steve.

- Ale jak... - zaczęła, otwierając zamki.

Nie pozwolił jej skończyć. Wdarł się do środka, porwał Michelle w ramiona i przywarł ustami do jej warg. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Przez chwilę oszołomiona Michelle trwała sztywna i nieruchoma w ramionach Steve'a, nie mogąc wciąż uwierzyć, że widzi go tutaj.

Steve nie czekał, aż Michelle przywyknie do myśli o jego nagłym pojawieniu się. Jego wargi, twarde i zachłanne, odszukały jej usta. Całował ją mocno i gniewnie, zawładnął jej ciałem, manifestując swą przewagę. Reakcja Michelle była paradoksalna; chciała jednocześnie odtrącić go i ulec.

Aż wreszcie pierwotny, kobiecy instynkt wziął górę, odpowiadając na uścisk jego ramion, reagując na ciepło i nacisk muskularnego ciała. Z cichym westchnieniem rozchyliła wargi i poczuła smak jego ust. Wsunęła palce w gęste, czarne włosy i z pasją odwzajemniła pocałunek. Gdy Steve dostrzegł tę zmianę, jego gniew ustąpił miejsca czystej namiętności, a pocałunki zdradzały płomienną żądzę. Uniósł spódnicę Michelle i powędrował dłoń w górę jej aksamitnego uda. Gdy napotkał koronkowy brzeg bielizny, wstrząsnął nim dreszcz i obiema dłońmi nakrył gorącą wypukłość jej kobiecości, pocierając i pieszcząc jedwabiste fałdy. Wargami ssał delikatnie wrażliwą skórę jej szyi i Michelle jęknęła, czując palące iskierki na piersiach i niżej na brzuchu. Twarde korale jej sutek sterczały nabrzmiałe czerwienią, gdy dłoń Steve'a rytmicznie poruszała się między jej udami.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś - szepnęła. Przywarła do niego mocno, jakby bała się, że Steve może zniknąć, gdyby go puściła.

- Jestem. - Sama melodia głębokiego, niskiego głosu Steve'a podniecała ją. - Nie każ mi odejść, Michelle.

Kiedy uniósł ją lekko, by umieścić wyżej i mocniej na sobie, Michelle poruszyła biodrami, przejęta dreszczem rozkoszy.

- Chcę, byś został. - Kiedy wypowiedziała te słowa, wiedziała już, że nie ma odwrotu. Zresztą nie myślała o tym. Teraz był właściwy czas. Kochała go i tęskniła za nim.

Steve porwał Michelle w ramiona; mieszkanie było małe i z łatwością odnalazł sypialnię. Kiedy kładł dziewczynę na łóżku, coś otarło się o jego nogi i Steve wyprostował się zaskoczony.

- Co u...

- To Burton bawi się myszką - wyjaśniła Michelle. - Chyba przeszkodziliśmy mu w polowaniu i uciekł w popłochu.

Steve zaśmiał się gardłowo.

- Ty i twoje szalone koty, twoje szalone podróże, twoje szalone...
- Zrozumiałam - przerwała mu Michelle, wyciągając do Steve'a rękę. - Uważasz, że jestem szalona.

Opadł obok niej z chrapliwym jękiem.

- To ty mnie doprowadzasz do szaleństwa. - Gwałtownie nachylił się nad nią, odnajdując ustami jej wargi.

Gorącymi palcami rozpiął jej bluzkę i stanik. Jej ciało płonęło, spragnione czegoś, czego Michelle nigdy nie zaznała, lecz za czym instynktownie tęskniła.

Steve patrzył na jej pełne piersi, gładkie i twarde niczym wyrzeźbione z kości słoniowej, pięścił wzrokiem napięte, koralowe sutki. W jego umyśle panował zupełny chaos, a ciało przenikała żądza silna aż do bólu. Musiał czekać na Michelle dłużej niż na kogokolwiek i cokolwiek w życiu. Był przyzwyczajony do tego, że wszystko zawsze przychodziło mu łatwo, a ludzie robili to, czego chciał on.

- Jesteś taka piękna - powiedział ochryple. - Taka podniecająca. I pragnę cię tak bardzo, że... - Zabrakło mu słów. Owładnięty żądzą, nie potrafił przypomnieć sobie żadnej ze zwykle używanych w takich sytuacjach formułek.

Nachylił się, biorąc do ust sterczący różowy pączek. Zwilżył sutkę lekko językiem, a potem wciągnął głęboko do ust, ssąc i kęsając, a Michelle wiła się i drżała z rozkoszy.

Palce Steve'a sprawnie poradziły sobie z suwakiem jej spódnicy, która w chwilę później leżała już na podłodze. Michelle miała na sobie granatowe figi w białe gwiazdy. Usta Steve'a wygięły się w zmysłowym uśmiechu.

- Patriotyczne - zamruczał. Michelle splonęła się.

- Mam słabość do rzeczy czerwonych, białych i niebieskich, a także do wzorów w paski i gwiazdy - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Może dlatego że wychowałam się w rodzinie wojskowego.

- Ilekroć spojrzę odtąd na amerykańską flagę, zawsze będę myślał o twoich figach - powiedział, głaszcząc jej tyłek.

Michelle poczuła się słaba i bezbronna.

- Nie drażnij się ze mną, Steve. Wzruszyła go jej nieśmiałość.

- Nie drażnię się z tobą - powiedział cicho, muskając ustami napiętą skórę jej brzucha. - Hm, może tylko odrobinę. - Zaznaczył językiem ślad wokół jej pępka. - Należy ci się za odegranie tej sceny ze zniknięciem.

- Sceny ze zniknięciem? - powtórzyła półprzytomnie. Szumiało jej w głowie i z trudem podtrzymywała rozmowę.

- Szukałem cię od soboty. Miałem wrażenie, że rozplynęłaś się we mgle. - Steve zmarszczył brwi na to wspomnienie. - Byłem wściekły.

- Na mnie?

Zuchwale wsunął koniuszek języka w zagłębienie jej pępka. Michelle odetchnęła głęboko. Gdy poczuła między nogami nacisk jego dłoni, krzyknęła cicho.

- Na siebie. - Głos Steve'a brzmiał nisko i bezdźwięcznie. Jego zwinne palce poruszały się niestrudzenie, a on patrzył, jak Michelle drży w odpowiedzi na tę pieszczotę. - Za to, że byłem głupi i pozwoliłem ci odjechać.

- Ale znalazłeś mnie - wyszeptała jednym tchem. Wstrzymała oddech, nieruchomiejąc, gdy zsuwał z niej figi.

- Znalazłem cię - powtórzył chrapliwie. Przeczesał palcami trójkąt ciemnoblonde włosów,

muskając miękki jedwab jej skóry.

Michelle splonęła się, gdy odnalazł wilgotny sekret jej ciała. A potem znów całował ją równie dziko i zachłannie jak poprzednio; jej wstyd rozplynął się w burzy pożądania. Steve zsunął figi Michelle i szerzej jeszcze rozwarł jej nogi. Dotykając dziewczyny leciutko, gładząc i pocierając, odkrywał tajemnice jej kobiecości.

Michelle wykrzyknęła jego imię. Kurczowo chwyciła ramiona Steve'a, nieświadomie wbijając paznokcie w twarde mięśnie. Co on z nią robił... jak on jej dotykał... odczucia, jakie w niej wzbudzał... Nie doświadczyła nigdy niczego tak dalece intymnego. Czuła się oszołomiona, jakby miała wysoką gorączkę, nie chciała jednak, by to się skończyło. Nie chciała, by Steve przestał ją pieścić.

I nie zrobił tego. Powoli, uważnie, jakby czas nie miał żadnego znaczenia, gładził ją i całował, oceniając reakcje dziewczyny i dostosowując do nich swe pieścizny. Powtarzał je i wzmacniał, a Michelle z każdą chwilą bardziej zatraciła się w rozkoszy. Jej ciałem wstrząsały konwulsje, każda delikatna penetracja zwiększała nabrzmiewające w niej napięcie, aż rozprysnęło się ono w szmerzących falach gorąca, tak przyjemnego, że z oczu Michelle popłynęły łzy prawdziwego wzruszenia.

Jej ciało wciąż trwało jeszcze w miłosnym spazmie, gdy usłyszała głos Steve'a, radosny, męski i pełen dumy.

- Tak, kochanie. To właśnie to. Nie broń się przed tym...

Czuła się jakby zanurzona w świetlanym cieple. Leżała bez ruchu w ramionach Steve'a, zbyt ociężała, by otworzyć oczy.

- Nie marzyłem nawet, że będziesz tak cudownie wrażliwa. - Steve obsypywał jej policzki, czoło, usta delikatnymi pocałunkami.

Michelle uniosła powieki. Jej szeroko otwarte niebieskie oczy były pełne zdziwienia. A potem twarz pokryła się ciemnym rumieńcem. Leżała z nim w łóżku, naga, gdy Steve wciąż jeszcze nie zdjął nawet ubrania. Wspomnienie swoich impulsywnych reakcji na jego intymne penetracje sprawiło, że Michelle poczuła nagły wstyd.

- Ty... nie? - Nie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć. Własny brak doświadczenia wydawał się jej tak zawstydzający. Była pewna, że również Steve dostrzegł jej konsternację. - Dlaczego nie... Uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że może być to dla ciebie zbyt trudne, by w jednym momencie ulec i stracić kontrolę. Udowodniłaś wcześniej, że potrafisz zachować panowanie nad sytuacją i powiedzieć: nie, gdy tylko...

- Steve zobaczył na twarzy Michelle niepokój i pogładził dłonią jej policzek. - O co chodzi, kochanie?

- Po prostu... po tym... - Urwała, wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz. - Nie wiem, co ci powiedzieć - wyznała z wahaniem.

- Powiedz, co chcesz. Niema żadnego scenariusza, którego musielibyśmy przestrzegać. - Steve zmienił pozycję tak, że leżał teraz na Michelle. Przywarł do niej, by czuć ogień jego pożądania. - Chociaż miałbym kilka propozycji. Na przykład podoba mi się okrzyk: „Och, Steve, jesteś wspaniałym kochankiem!”

Wypowiedział te słowa zabawnym fałsetem. Jego ciemne oczy błyszczały radośnie.

- Albo: „Steve, jesteś pochodnią ognia prawdziwej miłości”, też brzmi dobrze.

Michelle roześmiała się. Jej niepewność ustąpiła miejsca silniejszym uczuciom i wrażeniom.

- Kocham cię - szepnęła.

Steve nie zareagował na to wyznanie i Michelle spodziewała się tego. Ona dziś po raz pierwszy wyznawała komuś miłość, lecz Steve bez wątpienia wielokrotnie słyszał już te słowa. Mężczyzna z jego wyglądem, wdziękiem i seksapilem z pewnością już w szkole podstawowej przyzwyczał się do wysłuchiwania tego rodzaju deklaracji.

Takie myśli były nieprzyjemne i niepokojące. Michelle postanowiła się nimi nie zdręzczać. To nie był czas na rozważania. Kochała Steve'a ze wszystkimi jego wadami i pomimo jego przeszłości. Objęła go mocno. Była z mężczyzną, którego kochała i na którego czekała przez całe życie. Z mężczyzną, który już niedługo stanie się jej kochankiem. Wyciągnęła rękę i spróbowała rozpiąć guziki jego koszuli.

- Rozbierz się - zamruczała, zdziwiona własną śmiałością.

Steve przekręcił się na bok, sprawnie pomagając Michelle w zdejmowaniu z siebie ubrania. Jej serce biło szybko. Odetchnęła głęboko, widząc jego nagie ciało. Był wspaniały, silny, męski. Podziwiała mocne ramiona, muskularną klatkę piersiową pokrytą ciemnym zarostem, który sięgał aż do pępka. Jego brzuch był płaski, uda długie, szczupłe, silnie umięśnione. Widziała wyraźnie, jak bardzo jej pragnął.

Michelle chciała dotknąć go, czuć jego silne i twarde ciało, porównać kontrastujące faktury gładkiej skóry i czarnych, skręconych włosów. Wyciągnęła do Steve'a rękę, przyzywając go i witając ponadczasowym uśmiechem Ewy.

Steve przysiadł na brzegu łóżka i przez długą chwilę przyglądał się Michelle.

- Nigdy tak bardzo nie pragnąłem kobiety, jak pragnę teraz ciebie - wyznał. - Do licha, nigdy niczego nie pragnąłem tak bardzo jak ciebie w tej chwili.

Leżał obok niej wsparty na łokciu tak, by móc obserwować dziewczynę, gdy drugą ręką delikatnie ją pieścił. Pragnął Michelle ogromnie, lecz samo oczekiwanie było tak cudowne, że chciał je przedłużyć.

Na razie delectował się patrzeniem na nią, dotykiem jej tam, gdzie zabłądziły jego oczy.

Miękkie, pełne, różowobiałe piersi, zagłębienie talii, łuki bioder.

Uda dziewczyny były zaokrąglone, łydki szczupłe i kształtne. Powiódł dłonią po ich zewnętrznej części, a potem przesunął dłoń wyżej, dotykając miękkiego futerka między jej udami.

Michelle wiała się pod dotykiem jego rąk. Nie była w stanie leżeć bez ruchu, ogarnięta pragnieniem, by dawać, a nie tylko chłonąć rozkosz. Nie wystarczało już przyjmować pieszczoty. Chciała dać mu przyjemność, nauczyć się jego ciała, tak jak on poznawał ją w tej chwili.

Objęła dłońmi twarz Steve'a, potem odnalazła jego usta i dotykała ich wciąż na nowo, składając na nich mnóstwo lekkich, słodkich pocałunków. Gdy rozchylił wargi, ich języki starły się w miłosnym pojedynku.

- Michelle -z trudem wypowiedział jej imię. Kiedy wcześniej całowali się i pieścili, Michelle rzadko przejmowała inicjatywę. Teraz, pod wpływem jej nieoczekiwanej namiętności, całkiem stracił panowanie nad sobą. Prawdziwym wysiłkiem było powiedzenie czegokolwiek. Pętla pożądania zaciskała się coraz mocniej. - Nie jestem w stanie dłużej czekać. - Czy nie czekał już na nią całą wieczność? Miał wrażenie, jakby jego życie zaczęło się naprawdę dopiero wówczas, kiedy ją spotkał. Ta myśl wydała mu się tak niepokojąca, że czym prędzej wymazał ją ze świadomości, koncentrując się na niewiarygodnej, nieprawdopodobnej lawinie rozkoszy, jaką wywoływały w nim jej delikatne ręce. Michelle odnalazła bowiem jego gorącą, pulsującą męskość i koniuszkami palców badała teraz starannie jej kształt, wielkość i długość.

- Proszę. - Wyciągając rękę, chwycił swoje leżące na ziemi spodnie i wyjął z kieszeni maleńki pakunek. Wcisnął paczuszkę w dłoń Michelle. - Załóż to.

Michelle spoglądała na Steve'a zdumiona. Wreszcie zrozumiała, czego chciał od niej, i zachichotała.

- W pierwszej chwili nie byłam pewna, o co ci chodzi. Nigdy dotąd tego nie robiłam. Steve odebrał jej paczuszkę.

- Nie szkodzi, skarbie. Ja to zrobię. To nawet lepiej. Mógłbym eksplodować, gdybyś jeszcze raz mnie dotknęła.

Michelle patrzyła, jak Steve sprawnie sobie radzi. Przemknęło jej przez myśl, że ona sama nie zadbała o jakiekolwiek zabezpieczenie, i była wdzięczna, że zrobił to jej partner. Odrobinę tylko zaniepokoiło ją to, że Steve pozostał opanowany i przytomny, gdy ona zapomniała o wszystkim w porwywie namiętności.

- Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się nie pamiętać o tym? - spytała z ciekawością. - Czy kiedykolwiek dałeś się tak ponieść emocjom, by zapomnieć lub zdecydować się na ryzyko?

- Nigdy. Nie jestem głupi. Lubię ryzyko w niektórych sprawach, lecz nie w tej. - Mówiąc to, powoli opuszczał Michelle na plecy, aż wreszcie położył się na niej. - Nie byłem nigdy tak zaślepiony, by nie brać pod uwagę tak istotnych konsekwencji.

- A to właśnie mnie się przydarzyło - szepnęła do siebie. Włosy na jego torsie drażniły jej sutki. Steve rozsuwał jej uda, by zrobić dla siebie miejsce, i Michelle poczuła w pełni twardy nacisk jego ciała.

Zamknęła oczy, gdy powoli i wytrwale badał atlasowe sekrety jej kobiecości. Poczowała ostry ból, gdy Steve wniknął do ciasnego, gorącego wnętrza jej ciała. Przygryzła mocno wargę, by powstrzymać krzyk, nie chciane łzy wykradły się z kącików jej oczu.

A potem był już głęboko w niej. Trwał tak przez chwilę, oddychając ciężko, czekając, by Michelle oswoiła się z jego obecnością.

- Och, Michelle, jesteś tak ciasna, gorąca i wilgotna. - Jego słowa przerwało głośne westchnienie. - Jesteś idealna dla mnie.

- Tak, jestem - potwierdziła Michelle bez tchu. - I nie tylko w łóżku. - Palący, rwący ból ustępował powoli uczuciu przyjemności.

Steve zaczął poruszać się i rozkosz przepełniała Michelle rytmicznymi falami, docierając do wszystkich nerwów, tak że nic prócz niej nie miało znaczenia. Instynktownie poddała się rytmowi jego ruchów, zmysłowo prężąc się i cofając, potęgując ich wspólną przyjemność. Michelle wykrzyknęła imię kochanka.

Nagłego upojenia, które przeżyła, nie sposób byłoby opisać. W spazmatycznym uniesieniu przywarła do Steve'a.

Głęboko w niej zanurzony Steve pragnął przedłużyć przyjemność, lecz doznawane wrażenia były tak silne, tak intensywne, że okrzyki Michelle i jej słodkie, wewnętrzne skurcze wyzwoliły także jego spełnienie.

Pograżony w ekstazie słyszał namiętny, żarliwy głos Michelle po wielokroć wyznającej mu swą miłość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Michelle milczała. Doznane przed chwilą wrażenia były zbyt silne, by mogła rozmawiać.

Wszystkie jej myśli dotyczyły Steve'a. Tego, jak bardzo go kochała. Jak jej miłość zamieniła ich wzajemny pociąg seksualny w coś więcej, sprawiając, że to, czego doświadczyli, stało się nie tylko spełnieniem fizycznym. Połączyła ich miłość, głęboka i prawdziwa, miłość, o jakiej marzyła i o jaką modliła się przez całe życie.

Steve także rozmyślał, lecz bynajmniej nie o prawdziwej miłości. Odtwarzał w pamięci zmysłową idyllę, która tak niedawno była ich udziałem. Tym razem zastanowił go pewien szczegół, który wcześniej umknął jego uwagi. I choć widział, że Michelle najchętniej leżałaby bez słów wtulona w jego ramiona, zdawał sobie sprawę, że pewne rzeczy muszą zostać powiedziane.

- Jesteś dziewicą, prawda? Przez chwilę to pytanie unosiło się pomiędzy nimi w głębokiej ciszy, aż Michelle odparła:

- Już nie. - Uśmiechnęła się do niego. Czuła się cudownie, przepelniona radością. Kochała go każdą cząstką swego ciała. Ona i Steve należeli do siebie. To było naturalne i dobre. I tak oczywiste; wkrótce on także zda sobie z tego sprawę.

Magia jej promiennego uśmiechu podziałała na Steve'a. Nie potrafił dłużej zachować dystansu emocjonalnego, który w milczeniu starał się stworzyć pomiędzy nimi... ani też fizycznego. Ujął i pocałował jej dłoń.

- Powinnaś była mi powiedzieć - zbesztła ją łagodnie. Wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam robić z tego wielkiej sprawy.

- Utrata dziewictwa jest wielką sprawą.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Promieniowała od niej radość.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że bardzo się z tym spóźniłam. - W oczach Michelle błyszczały łzy, gdy z miłością spoglądała na Steve'a. - Ale tak się cieszę, że czekałam, Steve... że mój pierwszy raz był z tobą.

Co mógł na to odpowiedzieć? Co mógł zrobić? Tylko objąć ją mocno i całować, aż, ku własnemu zdziwieniu, znów poczuł dreszcz podniecenia. Znów! Przecież przed chwilą posiadał ją, a znowu jej pragnął! To nigdy dotąd mu się nie przydarzyło. Po kontakcie seksualnym zapadał zwykle w głęboki sen albo wracał od razu do domu nasycony i bez pragnienia następnych spotkań. Dotąd jego uczucia pozostawały zawsze nieporuszone, zaś z Michélie... Spędzili razem wiele czasu, ich znajomość była zbyt długa, by mógł teraz po prostu odwrócić się od niej.

Mimo tego niepokojącego świadectwa własnego zaangażowania emocjonalnego, Steve nie potrafił powstrzymać się, by nie objąć Michélie. Trzymając ją w ramionach, przewrócił się na plecy, tak że Michélie leżała teraz na nim. Dziewczyna zaśmiała się, zachwycona nowymi możliwościami, jakie otwierała przed nią ta pozycja.

- Powinienem być potwornie wściekły na ciebie za to, że nie wyjawiałaś mi prawdy - stwierdził Steve z ciężkim westchnieniem. - Nie wiedząc, mogłem cię zranić, Michélie.

- Lecz nie zrobiłaś tego - odpowiedziała czule, pieszcząc wargami jego brodę. - Sprawiliś, że było cudownie, Steve.

Steve całował dziewczynę, lekko kłusząc jej jedwabście gładką skórę. Był jeszcze jeden powód, dla którego powinien być na nią wściekły. Jeśli ofiarowanie dziewictwa miało być darem miłości, niechcący otrzymał dar, którego nigdy nie pragnął. O który nie prosił. Wiedział wszystko o dziewicach i zawsze starał się ich unikać. Oczekiwały zbyt wiele: miłości, obietnic, stałości. Michélie powiedziała, że go kocha. Oczywiście. Dla dwudziestopięcioletniej dziewczyny miłość i seks musiały być nierozdzielnie ze sobą związane.

Sądząc zaś ze sposobu, w jaki rozwijała się jego znajomość z Michelle, już wkrótce weselne dzwony mogły zabrzmieć także i dla niego.

Poczuł gorąco, potem chłód, jakby trawiła go wysoka gorączka. Delikatnie odsunął od siebie Michelle i usiadł.

- Steve? - Gładziła jego ramię, przypatrując się mu uważnie. - Czy coś się stało?

- Stało się? A co mogłoby się stać? - zapytał z udawaną bez troską. - Ale... przyszło mi nagle na myśl, że podczas gdy leżymy bez trosko w łóżku twojej siostry, ona może pojawić się w każdym momencie.

Michelle także usiadła i przytuliła się do Steve'a, obejmując go i opierając głowę na jego ramieniu.

- Nie martw się. Courtney wyjechała z miasta, przeprowadza jakieś badania naukowe. Całe mieszkanie jest nasze.

- Mieszkałaś tu sama? - Odwrócił się do niej. - Dlaczego?

Michelle wzruszyła ramionami. Nie miałoby sensu przypominanie po raz kolejny ich ostatniej kłótni. Dzisiaj tak wiele zmieniło się między nimi.

- Potrzebowałam relaksu - odparła wymijająco.

- Zwiedziłam wszystko to, na co zawsze brakowało mi czasu, gdy byłam z Courtney. - Z zaciekawieniem przechyliła na bok głowę, przypominając sobie nagle, że Steve nie wyjaśnił jeszcze, w jaki sposób ją odnalazł.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Popytałem trochę - mruknął.

- Naprawdę? Ale kogo pytałeś? Nie mówiłam, dokąd wyjeżdżam, kiedy prosiłam o urlop.

- Zadzwoiłem do Ashlinn - wyznał niechętnie.

- Sądziłem, że może wybrałaś się do niej. - Zmarszczył brwi. - Czy musimy o tym mówić?

Biorąc pod uwagę, jak bardzo mną gardzi, rozmowa z Ashlinn była wątpliwą przyjemnością.

Kiedy powiedziałem, że wyjechałaś z Harrisburga, odmówiła wszelkich informacji i nie chciała podzielić się ze mną swymi przypuszczeniami na temat miejsca twojego pobytu.

- O, tak - westchnęła Michelle. - To w stylu Ashlinn.

- Musiałem zadzwonić do niej jeszcze trzy razy, zanim wreszcie powiedziała mi, że możesz być u Courtney w Waszyngtonie. Dzięki następnym dwóm telefonom udało mi się zdobyć ten adres.

- Ale nie zniechęciłeś się. - Michelle uśmiechnęła się czarująco. Była tak piękna. - Och, Steve, jak dobrze, że nie zrezygnowałeś z tych poszukiwań.

Steve zaniechał dalszych daremnych prób zachowania pomiędzy nimi dystansu. Pokusa była zbyt silna. Nie potrafił dłużej opierać się własnym emocjom. Znow wzięła Michelle w ramiona.

- Ja też się cieszę - powiedział. Jego głos brzmiał nisko i gardłowo. - Czułem się jak ostatni łajdak, odwołując sobotnie przyjęcie. Gdy tylko przyjechała moja rodzina, zadzwoniłem, by prosić cię o przyłączenie się do nas. - Skrzywił się na wspomnienie tamtego dnia. - Usłyszałem twoją automatyczną sekretarkę powtarzającą w kółko tę samą wiadomość. - Steve słowo w słowo przytoczył nagraną przez Michelle informację.

- Nauczyłeś się tego tekstu bezbłędnie! - wykrzyknęła zdumiona.

- Ponieważ usłyszałem ją czterdzieści razy tamtego wieczoru i kolejne czterdzieści następnego dnia. Najprawdopodobniej zająłem całą taśmę swoimi wiadomościami. Wreszcie nadszedł poniedziałek i zadzwoniłem do twojego biura, po to tylko, by dowiedzieć się, że wzięłaś kilka dni wolnego i wyjechałaś z miasta.

Patrzyła w jego ciemne, niebieskie oczy.

- Chciałam wyjechać na jakiś czas.
- Ponieważ cię zraniłem - dokończył Steve, a w jego głosie słyszała szczerzy żal.
- Teraz już wszystko będzie dobrze – szepnęła - Wiem to.

Steve nie odpowiedział. Sięgnął po swą niezawodną paczuszkę i skorzystał z niej. Z błyszczącymi oczarjmi obserwował Michelle, gdy unosił wysoko jej nogi, a potem powoli zagłębił się w nią.

Michelle odetchnęła gwałtownie, oczekując bólu, lecz jej ciało przyjęło Steve'a wilgotnym, aksamitnym ciepłem. Wypełniał ją wiele razy, a ciszę sypialni przerywały ciche jęki, aż wreszcie jej głos przeszedł w ostry krzyk, całe ciało wyprężyło się i zacieśniło wokół kochanka w spazmie rozkoszy.

Po powrocie do Harrisburga Michelle zdała sobie sprawę, że choć tak wiele zaszło pomiędzy nimi, nic właściwie się nie zmieniło. Spotykali się równie często jak przed jej przełomową wycieczką do Waszyngtonu, tylko że teraz Steve nie musiał już „ścigać jej po całym mieszkaniu, by pocałowała go na dobranoc”. Teraz każdego wieczoru szli razem do łóżka. Jednak niezależnie od tego, jak późna była pora, Steve nigdy nie zostawał u niej na noc w ciągu tygodnia. Nocował u Michelle tylko w weekendy i to też tylko z piątku na sobotę. Podkreślał w ten sposób potrzebę całkowitej niezależności. Michelle szybko zauważyła pewne schematy w zachowaniu Steve'a. Po chwilach szczególnej bliskości zawsze odsuwał się od niej, zaznaczając pomiędzy nimi dystans fizyczny czy też emocjonalny. Unikał wszelkich rozmów o przyszłości. Nigdy nie planował też żadnych spotkań wcześniej niż tydzień naprzód. Jednak z pewnością wiele zmieniło się od czasów, kiedy nie wiedziała nawet, gdzie Steve przebywa, pocieszała się Michelle. A skoro wydawało się, że Steve'owi zależy na niej, skoro stwarzał takie właśnie pozory, nie spotykając się z żadnymi kobietami poza nią, czyż nie miała powodów, by sądzić, że Steve ją kocha? Za każdym razem, gdy zadawała sobie to pytanie, odpowiedź była ta sama. Tak. Z pewnością któregoś dnia Steve także to zrozumie.

Maj

- Michelle, czy możesz w to uwierzyć? My dwie grające w golfa w Hershey Country Club. Ale heca! - Leigh Wilson poprawiła swój żółty golfowy kapelusz i uśmiechnęła się do odbicia Michelle w lustrze damskiej przebieralni.

Leigh, ubrana na żółto, przypominała kanarka. Paplając bezustannie, piąty już raz poprawiała fryzurę i sprawdzała makijaż. Kiedy była wreszcie usatysfakcjonowana, obie dziewczyny ruszyły w kierunku pierwszego celu na zachodnim polu. Miały tam spotkać pozostałych graczy ze swojej czwórki, Steve'a Saracenię i Eda Dineena.

Michelle była przy tym, jak Steve zapraszał Eda Dineena na sobotnią grę w golfa. Ed od razu przyjął zaproszenie, lecz, ku zdziwieniu Michelle, odrzucił propozycję Steve'a, by towarzyszyli im w grze dwaj inni prawodawcy.

- Mam znakomity pomysł, jeśli miałbyś ochotę na coś odmiennego - oznajmił Ed, a Steve oczywiście był więcej niż chętny, by przystać na propozycję senatora, który pewnego dnia miał zdecydować o sprawie niezwykle istotnej dla klienta inżynierów prawodawstwa.
- Widzisz, nikt nie ma lepszego zespołu niż ja - ciągnął Ed - i chciałbym wynagrodzić...
- Rozumiem. - Uśmiech Steve'a był jak zawsze promienny. - Chcesz zaprosić Kena Gaudy'ego i Jima Flinna, by zagrali z nami. - Wymienił dwóch głównych współpracowników Eda. Dokładna znajomość całego personelu prawodawcy bardzo się liczyła w zawodzie

lobbysty, więc Steve znał cały sztab Dineena.

- Nie. - Ed potrząsnął głową. - Czterech facetów na polu golfowym to nic niezwykłego, mówiłem o czymś odmiennym! Co ty na to, byśmy zaprosili Michelle i... Leigh Wilson?

- Zagrać w golfa z Michelle i Leigh? - Uśmiech Steve'a zbladł wyraźnie. Nie potrafił ukryć swego przerażenia. Steve traktował ten sport bardzo poważnie. Nie grywał nigdy z amatorami, chyba że takowy miał brać udział w istotnym głosowaniu. Michelle i Leigh zdecydowanie nie zaliczały się do tej kategorii.

- Czy one grają w golfa? - spytał Steve, napotykając przelotnie spojrzenie Michelle. Wiedział, że ona nigdy nie trzymała w ręku kija golfowego; rozmawiali o tym kiedyś.

Michelle wzruszyła ramionami. Propozycja Eda rzeczywiście wydawała się dziwna.

- Czy to ważne? Będziemy mieli znakomitą zabawę! - stwierdził wyraźnie rozradowany Ed. Za sprawą Dineena znaleźli się więc dziś na polu golfowym. Dzień był wyjątkowo piękny i Michelle cieszyła się, że ma tę dodatkową okazję, by być ze Steve'em. Cierpliwie pokazywał jej, którego kija powinna użyć, jak go trzymać i jak zrobić zamach. Cudownie było czuć na sobie ramiona Steve'a, gdy pokazywał jej, w jaki sposób należy uderzać piłkę.

Upłynęło sporo czasu, zanim Michelle zauważyła, że podczas gdy Steve wtajemniczał ją w tajniki golfa, Ed w podobny sposób udzielał instruktażu Leigh. Ramiona Eda obejmowały Leigh, ich ciała, przyciśnięte do siebie, poruszały się harmonijnie, gdy uderzali piłkę. Wkrótce tych dwoje, roześmianych i rozgadanych, pozostało daleko w tyle za Steve'em i Michelle. Steve niecierpliwie spoglądał na zegarek.

- Czwórka za nami ma już pewnie ochotę połamać swoje kije na naszych karkach - warknął, obserwując zachowanie współgraczy.

Michelle, lojalna wobec szefa, nie komentowała tego, co widziała. Nie potrafiła przyznać głośno, nawet przed Steve'em, że postępowanie Eda uważała za... co najmniej dziwne. Po raz pierwszy miała powód, by podać w wątpliwość zachowanie senatora. Czemu jednak postępował tak głupio z Leigh?

Nareszcie dotarli do jedenastego dołka, skąd widać było już budynki klubu. Michelle i Steve skończyli grę jako pierwsi, po czym czekali, by dołączyli do nich Ed i Leigh. Steve zaprosił wszystkich na lunch i Ed od razu przystał na tę propozycję.

- A nie mówiłem, Steve, że to będzie świetna zabawa? - zawołał radośnie Ed. - Co ty na to, byśmy wkrótce znowu zegrali w tym samym składzie?

Michelle omal nie roześmiała się głośno, spostrzegłszy przerażoną minę Steve'a, który szczęśliwie szybko się opanował.

- Oczywiście. Musimy to szybko powtórzyć - odparł z godną podziwu szczerością w głosie. - Po moim trupie - dokończył po cichu, gdy wraz z Michelle szli w stronę budynku klubu. Ed i Leigh ciągnęli się za nimi niczym para rozszczębiotanych nastolatków.

- Niepisane prawo głosi, że na polu golfowym nie romansuje się - dodał Steve, krytycznym spojrzeniem obrzucając parę idącą za nimi.

- Ed nie ma romansu z Leigh! - wykrzyknęła Michelle, oburzona tym nieprawdopodobnym pomysłem. - Przyznaję, zachowywał się dzisiaj zupełnie nie w swoim stylu. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Ale nigdy nie zdradziłby żony. Ed jest oddanym ojcem rodziny. Jego staromodne zasady zawsze budziły mój podziw.

Podeksytowana schwyciła ramię Steve'a.

- Wiem, że w ten sposób rodzą się plotki. Ktoś widzi senatora i jego asystentkę poza biurem rozbawionych, radosnych i natychmiast podejrzewa najgorsze. Ale...

- Chcesz powiedzieć, spostrzega rzecz oczywistą - skomentował cierpko jej słowa Steve.
 - Nie Ed! - upierała się Michelle. - Nigdy żaden skandal nie był związany z jego nazwiskiem. On nie jest kobieciarzem i Yalerie byłoby bardzo przykro, gdyby doszły do niej te... plotki. Steve, proszę, obiecaj mi, że nie wspomnisz nikomu ani słowa o Edzie, Leigh i... dzisiejszym popołudniu.
 - Nie powiem ani słowa - obiecał Steve, przyglądając się Michelle z politowaniem. - Nie wierzysz chyba we wszystko, co czytasz o Dineenie w gazetach? Nie zapominaj, że sama jesteś autorką niektórych wypowiedzi. To, co publicznie mówi się o polityku, jest często bardzo dalekie od prawdy o tym człowieku.
 - Może w pewnym przypadku rzeczywiście - zgodziła się Michelle.- Lecz ja nie mogłabym pracować dla oszusta. Muszę wierzyć w ludzi. Ed i Valerie są...
 - Nie jesteś wystarczająco cyniczna, Michelle - przerwał jej Steve. - Nie ma w tobie ani krzty hipokryzji, co jest nie do uniknięcia w polityce. Martwię się o ciebie - dodał cicho. - Nie chcę, by ktoś cię zranił, a jest to nieuniknione, jeśli Dineen okaże się zupełnie innym człowiekiem, niż sądzisz.
- Michelle spojrzała na Steve'a z zaciekawieniem. Naprawdę wydawał się być o nią szczerze zatroskany. Podniesiona na duchu tym spostrzeżeniem zdecydowała się zadać mu wreszcie pytanie, z którym nosiła się już od kilku dni.
- Steve, Courtney zawiadomiła mnie, że wychodzi za mąż w następny weekend - oznajmiła pośpiesznie.
 - To będzie bardzo skromna ceremonia. Zaprosili tylko najbliższą rodzinę, a i tak nie wszyscy będą mogli przyjechać. Courtney powiedziała, że mogę zaprosić kogoś. Czy nie chciałbyś mi towarzyszyć?
 - Następny weekend? - Steve próbował zyskać na czasie. Miał żelazną zasadę dotyczącą ślubów. Zawsze bywał na nich sam. Zabranie dziewczyny na uroczystość o tak symbolicznym znaczeniu i prowokującą tyle emocji, było niczym spacer po polu minowym.
 - W następny weekend nie mogę - usłyszał własny głos. - Jestem umówiony na grę w golfa w tym klubie chyba z połową stanowego senatu. Przepraszam, skarbie.
 - Tak przypuszczałam. - Michelle dobrze zamaskowała swoje rozczarowanie. - Pomyślałam jednak: cóż szkodzi zapytać.
- Steve poczuł ogromną ulgę, słysząc jej pogodne słowa.
- Absolutnie nie szkodzi.

Michelle zdążyła tylko uwolnić Squeaky i Burtona z ich koszy podróжных, gdy zadzwonił telefon.

- Nareszcie wróciłaś! - Steve powitał ją radośnie, zanim zdążyła jeszcze powiedzieć „halo”. - Czas najwyższy. Dzwonię cały dzień. Jak udał się ślub?
- Cudownie - cicho odpowiedziała Michelle. - Courtney wyglądała ślicznie, Connor był wzruszony, a Sarah, dziewczynka, którą mają adoptować, zachowywała się grzeczniutko jak aniołek przez całą uroczystość.
- To dobrze. Cieszę się, że wszystko ułożyło się im tak doskonale. Czy mogę do ciebie wpaść?
- Teraz? Dziś wieczorem? - Jej serce zabiło szybciej.
- Tak, dzisiaj - potwierdził Steve. - Jeśli wyjadę w tej chwili, dotrę do ciebie za piętnaście minut, a może nawet wcześniej, pod warunkiem że nie będzie dużego ruchu.

Czy to możliwe, by tęsknił się za mną? zastanawiała się Michelle i w jej sercu pojawiła się nadzieja. Oglądając ślub Courtney i Connora, zapragnęła nagle sama stać się bohaterką takiej uroczystości. Pewnie dlatego, przewidując jej reakcję, Steve wolał nie uczestniczyć w tej ceremonii, pomyślała ponuro.

Steve przyjechał radosny, rześki i w tak pogodnym nastroju, w jakim go jeszcze nie widziała. Podarował kotom dwie maleńkie pluszowe myszki, zaś Michelle wręczył elegancko opakowaną paczuszkę z ekskluzywnego sklepu z damską bielizną.

- Myślę, że tęskniłeś za mną - szepnęła, gdy zwinnie i szybko zdejmował z niej niebieską sportową koszulę i szorty. Pod spodem miała koronkowy komplet w odcieniu błękitu. Kiedy nakładała go na siebie, marzyła o tym, by Steve zobaczył ją w tej bieliźnie i... zdjął ją z niej. Co zrobił z przyjemnością.

- Naprawdę tęskniłem za tobą - przyznał, nakrywając dłońmi jej piersi. Poczul nagle ogromne wzruszenie i zdał sobie sprawę, że rzeczywiście tęsknił za nią. Rozpaczliwie. Nie znaczy to jednak, że uzależniłem się od Michelle, uspokajał sam siebie.

- Nie jestem przyzwyczajony do samotnych weekendów - wyjaśnił Steve. Jego ręce wędrowały po łukach jej talii, bioder, ud. - Nie jestem przyzwyczajony, by niemal trzy dni obywać się bez seksu.

- Biedny Steve! - Michelle pomogła mu pozbyć się ubrania. Jej ręce drżały, gdy dotykała jego ciepłej skóry, twardych mięśni. - Musimy nadrobić stracony czas, nieprawdaż?

Wymruczał jakąś niezrozumiałą odpowiedź i porwał Michelle w ramiona, całując gwałtownie i zachłannie. Nie przerywając pocałunku, delikatnie popchnął ją na łóżko, wsuwając udo pomiędzy nogi dziewczyny. Posłuszna i spragniona Michelle Ignęła do twardego, mocnego ciała Steve'a.

- Steve, Kochaj mnie teraz! - krzyknęła. Pożądała go głęboko, silnie, prymitywnie, niemal do bólu.

- Tak, Kochanie. - Wypełnił ją i ich ciała, złączone w jedno, poruszały się w tym samym rytmie. Namiętność i pożądanie pchnęły ich w dziki, zmysłowy wir, który wybuchł wreszcie eksplozją wrażeń i rozkoszy.

Dopiero znacznie później, nad ranem, Steve zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zapomniał o czymś niezwykle istotnym. Jechał w takim pośpiechu, by zobaczyć Michelle, że nie pomyślał nawet o środkach ostrożności. Zapomniał całkiem o tym ważnym szczególe, który tyle lat gwarantował mu wolność i spokój ducha.

Ku własnemu zdumieniu, bynajmniej nie zamarł teraz z przerażenia. Czuł się zbyt pewny siebie, by martwić się na zapas. Wszystko układało się po jego myśli. Odnosił sukcesy na polu zawodowym, a jego życie osobiste było bogatsze, ciekawsze i bardziej satysfakcjonujące niż kiedykolwiek przedtem.

Spojrzał na Michelle. Spała na plecach. Miała lekko rozchylone usta, jej śliczna twarz wydawała się zupełnie odprężona we śnie. Nie potrafiłby opuścić jej teraz i wrócić do siebie, jak to robił zazwyczaj. Uśmiechnął się na wspomnienie radości dziewczyny, gdy oznajmił jej, że zostanie na noc. Rzeczywiście powinien robić to częściej, zdecydował. Lubił z nią spać. Dosłownie spać. Nie tak bardzo jednak, jak lubił kochać się z nią. Pragnął jej znowu, i to bardzo mocno. Wahał się tylko przez moment.

W tej chwili czuł, że szczęście mu sprzyja. Pragnąc Michelle tak silnie, z pewnością mógł zaryzykować jeszcze jeden raz. Poza tym, nie potrafiłby teraz nie kochać się z nią! Miał wrażenie, że siły przeznaczenia chcą, by on i Michelle kochali się właśnie w tym momencie.

Chwilę później znów doświadczali miłosnych rozkoszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czwarty lipca

Teraz lub nigdy! Steve spoglądał na zgromadzonych licznie członków klanu Saraceni, a także wielu sąsiadów i przyjaciół rodziny, którzy zebrali się w ogrodzie jego rodziców w Merlton, w stanie New Jersey. Jako rzadko widywany gość, a do tego najstarszy i jedyny syn, Steve zawsze miał zapewnione miejsce przy masywnym, ogrodowym stoliku zrobionym wiele lat temu przez jego ojca. Steve bawił się w zamyśleniu widelcem. Podano ravioli, przygotowane ręcznie przez jego babkę, ponieważ świąteczny obiad nie mógł obejść się bez tego dania babuni. Wreszcie Steve odłożył widelec i wstał ze stanowczym wyrazem twarzy. Odchrząknął.

- Mam wam coś do zakomunikowania. - Gwar ucichł. Kiedy mówił Steve Saraceni, zapatrzona w niego rodzina i przyjaciele zawsze słuchali go z uwagą. - Żenię się.

Przez chwilę trwała pełna zdumienia cisza, po czym zaczął się dla Steve'a istny sądny dzień. Jego matka i ciotki płakały ze szczęścia, ojciec i wujowie śpieszyli, by uściskać jego prawicę i poklepać po plecach. Po serdecznym uścisku babci, z wyglądu dość niepozornej staruszki, Steve długo nie mógł dojść do siebie. Dziękował wszystkim uprzejmie za życzenia, a na pytania odpowiadał jak zawsze wymijająco, z czarującym uśmiechem. Najwyraźniej bycie w centrum tak radosnego zainteresowania sprawiało mu dużą przyjemność.

Po chwili napotkał wzrok swojej siostry, Jamie. Jamie nie wierzyła w to, co mówił, i jej pełne wyrzutu spojrzenie dość brutalnie ściągnęło go z powrotem na ziemię.

Żeni się?

Michelle nienawidziła go! Uważała, że wykorzystał ją, by uzyskać poufne informacje. Była z nim w ciąży i wyjechała z miasta, mówiąc, że nie chce go więcej widzieć.

Godzinę później, chcąc odetchnąć trochę po lawinie życzeń, Steve wymknął się na górę, by znaleźć schronienie w swojej dawnej sypialni. I tam właśnie spotkał ostatnią osobę, z którą chciał teraz rozmawiać...

- Co teraz knujesz, braciszku? - Głos Jamie, ostry i karcący, dobiegł go, kiedy było już za późno na ucieczkę. Uśmiechnął się słabo.

- Zapewne tak jak wszystkich, zaskoczyła cię moja, hm... hm... nieoczekiwana decyzja, prawda, Jamie?

- Nie wierzę w ani jedno słowo - odparła cierpko Jamie. - Czy nie pomyślałeś, jak bardzo zranieni i rozczarowani będą rodzice, gdy...

- Czy nie przyszło ci do głowy, że mogę mówić prawdę? - odciął się Steve.

- Nie. Zdaje się, że tylko ja zauważyłam dość rzucającą się w oczy nieobecność przyszłej panny młodej. - Jamie spoglądała na niego chmurnie. - O, tak, wyjaśniłeś, oczywiście, że twoja wybranka spędza święto z rodziną. Ale to nie brzmi wiarygodnie, Steve. Cokolwiek więc ma na celu twój nędzny podstęp...

- Dobrze, dobrze. Może, mm... pośpieszyłem się trochę z tym obwieszczeniem. - Brawura Steve'a nagle zniknęła. Usiadł na łóżku i patrzył na swego małego siostrzeńca z zapamiętaniem ssącego smoczek. Spod ciemnej grzywki spoglądały na Steve'a zaciekawione czarne oczka.

- Twój bobas jest taki uroczy, Jamie - zauważył nagle, oczarowany urodą dziecka. Mały Matthew śmiał się ponad ramieniem matki. Kiedy wypadł mu smoczek, zaprotestował głośno, a potem znów się roześmiał. Steve nie potrafił oderwać od niego oczu. - Jest wspaniały! Ma takie bystre spojrzenie i...

- Chłopcy Cassie byli równie rezolutni i słodcy jak Matthew - lojalnie przyznała Jamie. - Nigdy nie spojrzaleś nawet na nich, dopóki nie skończyli pięciu lat i mogli rozmawiać z tobą o serialach telewizyjnych i grach wideo.
Steve odchrząknął.

- Zmieniłem się, Jamie. Nie jestem już tym facetem, którego znałaś i krytykowałaś przez wszystkie te lata.
To była prawda! Steve był zaskoczony własnym odkryciem. Zmiany w nim samym, w czasie gdy jego związek z Michelle rozwijał się i pogłębiał, były tak stopniowe i naturalne, że nie zdawał sobie z nich sprawy. Aż do tej chwili.

- Jamie, jak sądzisz, czy, gdybym miał, hm... dziecko, czy wyglądałoby tak jak Matthew? Naprawdę mam taką nadzieję, choć mały niebieskooki blondasek też będzie na pewno uroczy. Serce Jamie pozostało niewzruszone. Ona sama jednak opadła na łóżko z okrzykiem przerażenia. Mały Matthew niespokojnie wiercił się w jej objęciach.

- Wielkie nieba! - zawołała, bardzo przypominając w tym momencie własną babkę. - Teraz rozumiem! Ta kobieta, ta Michelle, ta, którą podobno zamierzasz poślubić, ta, z którą, według Saran, często się ostatnio widywałeś... Ona jest w ciąży, prawda, Steve?
Uśmiech Steve'a zniknął. Miał wrażenie, jakby w gardle utkwiała mu potężna, twarda bryła, i nie był w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Kiwnął głową.

- Och, Steve, jak mogłeś? Biedna Michelle! Nic dziwnego, że jej tu dzisiaj nie ma. Kiedy usłyszałeś tę wiadomość, z pewnością powiedziałaś, że to jej pech i jej problem? Kazałeś jej iść do diabła!

- Nie, nie! Było zupełnie inaczej. - Steve wstał i w podnieceniu zaczął chodzić po pokoju. - Nie powiedziałem nic takiego. Jamie. Umówiłem się z nią na kolację, by porozmawiać o wszystkim, lecz nie było jej już, kiedy zjawiłem się wieczorem. Próbowałem skontaktować się z nią. Zadzwoiłem do jej przyrodniej siostry w Nowym Jorku, lecz odpowiedziała mi jedynie automatyczna sekretarka, a nie wiem, gdzie mieszka jej siostra z Waszyngtonu, od kiedy wyszła za mąż w maju...

- Czy poprosiłeś Michelle o rękę, kiedy dowiedziałeś się, że jest w ciąży? - zapytała surowo Jamie. - Czy powiedziałeś, że ją kochasz i jesteś szczęśliwy, że nosi twoje dziecko?
Steve zbladł.

- Nie. Byłem zaszokowany, Jamie. Nigdy nie spodziewałem się...

- Jesteś okropny! - oburzyła się Jamie. Wstała i również zaczęła chodzić po pokoju. - Nie zachowujesz ostrożności, a potem masz czelność mówić, że jesteś zaskoczony naturalnymi konsekwencjami! Nie powiedziałeś tego, co ta biedna dziewczyna rozpaczliwie chciała usłyszeć, a teraz śmiesz skarżyć się, że wystawiła cię do wiatru.
Jamie chwyciła gazetę z nocnego stolika i zaczęła tłuc nią Steve'a po głowie. Matthew wymachiwał pulchnymi rączkami, gaworząc z zapalem.

- Hej, a co to takiego? Ostatnia runda wielkiego pojedynku rodzeństwa Saracenich? - Rand Marshall, mąż Jamie, wszedł do pokoju, jednym spojrzeniem ogarniając całą tę scenę. Mały Matthew zapiszczał z radości na widok ojca i szybko znalazł się w jego ramionach. - Przestań dręczyć biednego Steve'a, Jamie - dodał rozbawiony Rand. - Mimo wszystko on jest znacznie

silniejszy niż ty.

Jamie opuściła czasopismo, lecz jej ciemne oczy błyszczały podnieceniem.

- Och, Rand, tym razem to się wreszcie stało. Zrobił dziewczynie dziecko i porzucił ją. Teraz przyjechał do nas i opowiada, że się żeni, a nie ma nawet takiego zamiaru.

- Ależ mam! - wykrzyknął Steve. - Naprawdę chcę ją poślubić. Kiedy powiedziałem wam o tym, zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście tego chcę. A gdy musiałem bronić się przed tobą, do końca utwierdziłem się w tej decyzji, Jamie. Chcę poślubić Michelle.

- Kochasz ją? - spytał surowo Rand.

- Tak. - W oczach Steve'a lśnił ból. Po raz pierwszy przyznał się do tego nawet przed sobą. Gdyby tylko Michelle mogła to usłyszeć! - Kocham ją. Bardziej niż chciałem. Zawsze broniłem się przed uczuciem. Ale to stało się i chcę zostać z nią już na zawsze. Bez niej nigdy nie będę szczęśliwy. Teraz to wiem.

- Dlaczego jej tego nie powiesz? - zapytał Rand.

- Tylko nie mów: „nigdy nie chciałem cię kochać” - dodała Jamie. - Zamiast tego powiedz...

- Kochanie, nie musimy układać mu scenariusza - przerwał jej rozbawiony Rand. - Kiedy trzeba zadbać o własne interesy, twój brat stanowi klasę samą w sobie.

- Nie tym razem. - Steve zrezygnowany opadł na stojące przy biurku krzesło. - Widzicie, są jeszcze dodatkowe komplikacje. Michelle sądzi, że wykorzystałem ją, by uzyskać poufne informacje dla mojego klienta na temat ustawy, którą zainicjował jej szef.

- Zrobiłeś to? - spytał Rand. Twarz Steve'a wykrzywił grymas.

- Nie. Zdobyłem pewne poufne informacje, lecz nie od Michelle. Dowiedziałem się, gdzie mają być zlokalizowane ośrodki niszczenia trujących odpadów i przekazałem tę wiadomość mojemu klientowi. Kupili grunty w proponowanych miejscach. Kiedy ustawa została przyjęta, byli już właścicielami tej ziemi.

- Pierwszy raz w życiu naprawdę ci współczuję. - Jamie poklepała Steve'a po ramieniu. - I jeśli rzeczywiście kochasz Michelle, mam nadzieję, że ta biedna dziewczyna da ci jeszcze szansę, byś to udowodnił.

- Naprawdę kocham ją - potwierdził Steve. Znajomy błysk zdecydowania zaślnił w jego spojrzeniu.

- I ona dowie się o tym. Następnym razem, kiedy przyjadę do Merlton, Michelle będzie ze mną jako moja żona.

Było gorąco i parno, gdy Michelle parkowała wóz rzed swoim blokiem. Cieszyła się, że jest już w domu. Świąteczny wyjazd do Courtney i Connora okazał się błędem. Gdy przez cały weekend obserwowała rozkochanych w sobie nowożeńców, jej własna samotność stała się zupełnie nie do zniesienia. Przez te dni, przyglądając się małej Sarah, Michelle dobitnie uświadomiła sobie, ile ciągłej troski i uwagi wymaga dziecko. Szczęśliwa Sarah miała dwoje oddanych jej rodziców: nie pracującą mamę i ojca gotowego do pomocy, ilekroć pozwalał mu na to czas.

Z podziwem, ale też i bólem, Michelle przyglądała się życiu tej rodziny. Kto będzie troszczył się o jej dziecko przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Ona sama, nie mając męża, który by ich utrzymał, będzie musiała pracować w pełnym wymiarze godzin. Nie będzie też taty, który mógłby przejąć obowiązki zmęczonej mamy i wraz z nią dzielić troski i radości rodzicielstwa. Michelle wysiadła z samochodu i sięgnęła na tylne siedzenie po kosze z kotami. Była bliska płaczu. Ostatnio zdarzało się to jej dość często, ale tylko w nocy, gdy leżała sama w

ciemnościach. Nie była jeszcze gotowa, by podzielić się z kimkolwiek swoją tajemnicą, by wyjawiać, że znalazła się w sidłach! Zupełnie jak nieszczęsne bohaterki książki Ashlinn.

- Pozwól, że ci pomogę.

Michelle drgnęła. Oczywiście, nie odwracając się, potrafiła rozpoznać głos Steve'a.

- Nie trudź się - odparła chłodno, przytrzymując uchwyty koszy.

- Pomogę ci. - Nachylił się, dotykając przy tym Michelle. Dziewczyna natychmiast postawiła kosze na ziemi. Dotyk Steve'a, przypadkowy i nie zamierzony, to było zbyt wiele jak na jej obecne samopoczucie. Z grymasem na twarzy sięgnęła po walizkę.

- Zostaw to - rozkazał Steve, podnosząc kosze. - Wrócę po nią.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie. - Torba nie była ciężka i Michelle uniosła ją z łatwością. Jej serce waliło niespokojnie, żołądek szalał niczym uwięziony w klatce kot, lecz Michelle udało się ukryć niepokój pod nieprzeniknioną maską obojętności. W milczeniu ruszyła w stronę domu; Steve podążył tuż za nią.

Choć było to niezwykle kuszące, nie mogła zamknąć mu drzwi przed nosem. Steve niósł koty i to gwarantowało mu wstęp do mieszkania. Co, oczywiście, dokładnie sobie zaplanował. Steve Saraceni zawsze działał według planu, który zapewniał mu realizację jego celów. Michelle wiedziała o tym najlepiej.

Kiedy weszli do środka, Steve uwolnił koty i przyglądał się Michelle uważnym, badawczym wzrokiem.

- Mam cały samochód załadowany prezentami dla ciebie - odezwał się wreszcie. - Gdy byłem w Jersey, odwiedziłem pasaż handlowy i po raz pierwszy kupiłem więcej rzeczy niż moja kuzynka sklepomanka, Saran. Kupiłem dla ciebie perfumy, słodczyce, książki, jedwabne kwiaty, bieliznę. A, i jeszcze pluszowego kota, który tak przypomina prawdziwe zwierzę, że Burton i Saqueaky spróbują go albo pokonać, albo adoptować. Czy jeśli zejdziesz po to teraz do samochodu, wpuścisz mnie potem do domu?

- Nie - odparła Michelle sucho. Spojrzenie jej niebieskich oczu wydawało się równie lodowate jak jej ton.

- Tak właśnie przypuszczałem. Dlatego nie próbowałem tego zrobić. - Usiadł na kanapie, układając wygodnie ramię na poduszkach i opierając kostkę lewej nogi na prawym kolanie. Wydawał się swobodny i zrelaksowany i tylko jego oczy, napięte i uważne, zdradzały wewnętrzny niepokój.

Przez pewien czas Michelle udawała, że go nie dostrzega. Przygotowała kotom jedzenie, rozpakowała torby i zaczęła sprzątać w salonie. Wreszcie świadomość jego badawczego spojrzenia stała się nie do zniesienia.

- Możesz wyjść w każdym momencie. - Jej ton był wyraźnie złośliwy. - Im prędzej, tym lepiej.

- Nie wyjdę, Michelle.

- Cóż, z pewnością nie zostaniesz tutaj.

- Mylisz się - odparł Steve spokojnie. - Zostanę.

- Nie możesz! - Michelle patrzyła na niego. - Jeśli próbujesz mnie rozwścieczyć, udaje ci się to znakomicie. - Zaciśnęła mocno zęby. - Mów, czego chcesz i wynoś się.

- Chcę się z tobą ożenić - oznajmił Steve bez żadnych wstępów.

Cokolwiek spodziewała się usłyszeć, to z pewnością nie było to. Czowała się zmęczona i bezbronna. Nie oczekiwane i nie chciane łzy napłynęły do jej oczu. Spróbowała je powstrzymać.

- Daruj sobie eufemizmy i choć raz powiedz szczerze, o co ci chodzi. Nie chcesz się ze mną

ożenić, lecz czujesz się zobowiązany to zaproponować. Cóż, Steve, nie potrzebuję od ciebie żadnych przysług. Ja też nie chcę za ciebie wyjść.

- Chcesz - upierał się Steve. - A więc pobierzmy się, Michelle. Jak najszybciej. Jeśli jutro zaczniemy starać się o potrzebne dokumenty, będziemy mogli pobrać się przed końcem tygodnia.

- Nie obrażaj mojej inteligencji! Gdybym nie była na tyle głupia, by pójść do twego biura i powiedzieć ci, że... - Michelle z trudem przełknęła ślinę - że jestem w ciąży, nie zadałbyś sobie trudu, by choć raz jeszcze spotkać się ze mną. Spełniłam swoje zadanie. Dowiedziałeś się, gdzie będą zlokalizowane ośrodki niszczenia niebezpiecznych odpadów i przekazałeś informację swojemu klientowi. Dostałeś za swoje starania pokaźną premię i...

- Zamierzam wpłacić tę premię jako pierwszą ratę na nasz dom. Umówiłem się już z agentem sprzedaży nieruchomości, by zabrał nas na rekonesans jeszcze w tym tygodniu.

Michelle była oburzona.

- Kiedy chodzi o zuchwalstwo i upór, nie masz sobie równych! Nie wiem nawet, czemu służyć ma ta dzisiejsza rozmowa. Nie zależy ci na mnie!

- Zależy. - Steve wstał. - I udowodnię to. Mogę obalić twoje argumenty punkt po punkcie. Po pierwsze...

- Nie stosuj wobec mnie swych lobbystycznych praktyk!

Steve wyraźnie zaczynał tracić zimną krew.

- Michelle, to nie było głupie, że powiedziałaś mi o dziecku. Lecz nawet gdybyś nie przyszła do mego biura w zeszłym tygodniu i tak dowiedziałbym się o tym, gdyż zdecydowanie miałem zamiar jeszcze się z tobą spotkać. Zadzwoiłbym do ciebie, kochanie. Tęskniłem za tobą i...

- Gdybym nie wiedziała, że kłamiesz, byłabym pewnie szczęśliwa - cierpko przerwała mu Michelle.

- Poprawiona historia pewnego związku autorstwa Steve'a Saraceniiego: według uznania pomijaj prawdę i przedstawiaj fakty własnego pomysłu. W rzeczywistości nawet nie zadzwoniłeś do mnie przez dwa i pół tygodnia od czasu naszej kłótni. Wszystko pomiędzy nami było definitywnie skończone.

- Nic się nie skończyło, choć z pewnością była to, jak do tej pory, nasza największa kłótnia. Nie słuchałaś moich zaprzeczeń, już wcześniej osądziłaś mnie i uznałaś winnym. Byłem wściekły, Michelle. Zabolalo mnie również to, że tak mało masz do mnie zaufania. Ja...- Steve odchrząknął i wbił wzrok w podłogę. - Oczekiwałem, że mnie przeprosisz.

- Ja miałam przeprosić ciebie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

Skinał głową.

- To, co kiedykolwiek usłyszałem od ciebie, uszanowałem jako informacje przekazane mi w zaufaniu, Michelle. Nigdy nie wykorzystywałem ciebie. Ale nie chciałaś mi wierzyć.

Michelle stała z założonymi rękoma i patrzyła na niego.

- Wciąż ci nie wierzę. Pamiętam, jak szybko, jeszcze w styczniu, wykorzystałaś informacje uzyskane ode mnie na temat kariery sportowej Eda. Dostrzegłeś we mnie... źródło informacji. Dlatego podtrzymywałaś naszą znajomość, a ja byłam na tyle naiwna, by uwierzyć ci i zaufać. Ale to także moja wina. Powinnam była wiedzieć, że to się źle skończy. W dniu, w którym cię spotkałam, otrzymałam list, który zniszczyłam. Słyszałeś o łańcuchu szczęścia? Przerwałam go i widzisz, co mnie spotkało? Ty!

- Michelle, dzień, w którym spotkałem ciebie, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu, podobnie jak ostatnich kilka miesięcy. Zakochałaś się we mnie i ja także... pokochałem ciebie.

- Podeszedł do niej. - Chcę ciebie i chcę naszego dziecka, kochanie.

Wyciągnął do Michelle rękę, lecz odtrąciła ją, cofając się.

- Nie dotykaj mnie! I przestań kłamać! Nie kochasz mnie i nigdy nie kochałeś. Uznałeś miłość do ciebie za mój słaby punkt, a ponieważ wykorzystujesz słabości innych, wykorzystasteś również mnie i moje uczucie. Byłam twoją kochanką i źródłem informacji, a kiedy przestałam być potrzebna, postanowiłeś przerwać naszą znajomość.

Jej skronie pulsowały i Michelle potarła je czubkami palców.

- Moja ciąża musiała jednak wzbudzić twój niepokój - ciągnęła ponuro. - Zbyt wielu ludzi widziało nas ostatnio razem, by nie domyślić się, kto jest ojcem mojego dziecka.

Zdecydowałeś więc, że należy ożenić się ze mną i uniknąć w ten sposób skandalu. - Mocno wzburzona Michelle podniosła głos. - Wystarczy, Steve. W podobnej sytuacji byłam już dwadzieścia pięć lat temu, gdy moje przyjście na świat zmusiło dwoje nieszczęśliwych ludzi, by trwali w nieudanym małżeństwie. Nie chcę, by moje dziecko musiało przez to przejść. I nie chcę też uczynić drugiej osoby więźniem w małżeństwie, którego nie chce. - Ku własnemu przerażeniu omal nie wybuchnęła płaczem. Steve próbował ją objąć, lecz odepchnęła go.

- Nie będzie rozwodu, Michelle. Kiedy biorę ślub, to na całe życie i szczerze pragnę uczynić nasz związek tak udanym i szczęśliwym, jakim przez tyle lat było małżeństwo moich rodziców.

- Spoglądał na nią z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. - Pragnę szczęśliwego małżeństwa z kobietą, którą kocham. Dlatego czekałem przez wiele lat, grałem na zwłokę, oszukiwałem czas. Aż spotkałem ciebie.

Oczekiwał, że Michelle rzuci się mu w ramiona. Mógłby wtedy zanieść ją do sypialni, gdzie czynem zaświadczyłby o swojej miłości. Właśnie to powinno nastąpić wówczas, gdy mężczyzna obnaży duszę przed kobietą, którą kocha.

Najwyraźniej jednak mylił się.

Czułość nie złagodziła rysów Michelle, dziewczyna nie rzuciła się w jego objęcia. Zaśmiała się. I nie był to śmiech radosny, szczęśliwy. Słyszał w tym śmiechu drwinę i niedowierzanie.

- Jesteś zadziwiający, Steve. Nikt nie potrafi tak przekręcić prawdy jak ty, byle tylko ukazać wszystko w najlepszym dla siebie świetle. Umiesz przedstawiać fikcję jako fakt niczym magik zamieniający chusteczkę w kanarka. Ty nie robisz zakrętów o sto osiemdziesiąt stopni, lecz raczej o pięćset czterdzieści, lecz mimo to zachowujesz wiarygodność.

Usta Steve'a zacisnęły się w cienką linię, a oczy zwęziły w szparki. Michelle wyśmiała jego wyznanie miłości i oświadczyły! Ogarnął go gniew i dojmujące poczucie krzywdy.

- Jeśli próbujesz mnie rozwścieczyć, udaje ci się to znakomicie - mówił wolno, opanowanym głosem, z rozmysłem używając jej własnych słów. - Jeśli próbujesz mnie zranić, to też ci się udało. Ale zniosę wszystko, czymkolwiek zechcesz mnie jeszcze uraczyć. Zasługuję na to, gdyż przeze mnie jesteś teraz w ciąży. Masz prawo być na mnie wściekła i nie winię cię, jeśli odczuwasz wobec mnie nienawiść. Lecz mogę to znosić jedynie w małych dawkach i na dzisiaj mam już dość, Michelle. Teraz zostawiam cię, gdyż najwyraźniej tego właśnie chcesz.

Ruszył do wyjścia bez pożegnania, nie oglądając się za siebie. Kiedy wyszedł, Michelle stała patrząc na zamknięte drzwi. Mogła być z siebie dumna. Doprowadziła do tego, że stracił nad sobą panowanie. Tego przecież chciała. Steve Saraceni był mistrzem kamuflażu, lecz ona nie miała zamiaru raz jeszcze ulec jego urokowi. Niezależnie od tego, jak bardzo tego pragnęła.

Michelle czuła wyraźnie, że atmosfera w biurze Dineena w poniedziałkowy rano jest dziwnie posępna. Nie słyszała zwykłych żartobliwych narzekań na konieczność stawienia czoła nowemu tygodniowi pracy, żadnych opowieści o minionym weekendzie.

- Chcesz powiedzieć, że o niczym nie słyszałaś? - Brendan był zdziwiony, gdy Michelle podzieliła się z nim swymi spostrzeżeniami. - Gdzie byłaś? Zamknęłaś się w klasztorze w Katmandu? Ed i Valerie rozchodzą się.

Michelle poczuła się, jakby otrzymała cios w splot słoneczny.

- Nie! - Przytrzymała się krawędzi stołu. - Kiedy? Dlaczego?

- Ed ogłosił to w piątek - ponuro ciągnął Brendan.

- Zostawia Valerie i dzieci dla... Chcesz, żebym zacytował? Trzymaj się mocno krzesła, bo upadniesz: „najbardziej fascynującej kobiety na świecie, kobiety, przy której czuję się mężczyzną w sposób, o jakim nigdy nie marzyłem”. I wiesz, komu udało się położyć kres karierze Dineena i zburzyć spokój jego rodziny? Naszej Leigh Wilson.

- Ed i Leigh? - Michelle zachwiała się i opadła na krzesło. - Och, Brendan, to nie może być prawdą.

- Jestem zdziwiony, że o tym nie wiedziałaś, Michelle. To znaczy Saraceni wiedział, wszyscy lobbyści w mieście wiedzieli. Chodzą plotki, że Saraceni, Lassiter i Exner oraz trzech lobbyistów z NEA przyłapało Eda i Leigh, hm... in flagranti podczas jednego z przyjęć wydanych przez NEA.

Michelle patrzyła na Brendana bez słowa.

- Ludzie McClusky'ego opowiadają, że Ed przekazywał wszystkim poufne informacje niczym znaczki reklamowe, w nadziei zjednania sobie sympatii i uniknięcia rozgłosu - ciągnął Brendan.

Michelle utkwiała wzrok w gładkiej powierzchni biurka.

- To Ed wyjawiał Saraceniemu, gdzie zostaną zlokalizowane ośrodki niszczenia trujących odpadów - powiedziała cicho. Wszystko stało się nagle tak jasne.

- Bez wątplenia - zgodził się Brendan.

Twarz Michelle oblała się rumieńcem. Steve przyznał, że miał te informacje, lecz zaprzeczył, jakoby uzyskał je od niej. Ona zaś nazwała go kłamcą, podstępnie zdobywającym zaufanie, by potem zadać cios w plecy.

Niesłusznie. Steve otrzymał informacje bezpośrednio od Eda i wykorzystał je bez wyrzutów sumienia. Ed Dineen zdradził żonę, swoich współpracowników i wyborców. Ona zaś zdradziła Steve'a poprzez swój przerażający brak wiary w niego.

- Brendan, wychodzę - zawołała, chwytając torebkę i ruszając w kierunku drzwi.

Kiedy Michelle wchodziła do oddalonego o kilka przecznic biura Saraceniowego, była jeszcze zdyszana od szybkiego marszu.

- Cześć! - zawołała do niej Saran, która siedząc w recepcji malowała właśnie swoje zadziwiająco długie i wąskie paznokcie. - Nie wiem, jak udało ci się go wreszcie złowić, ale dokonałaś tego. Gratulacje!

- Złowić go? - Michelle powtórzyła niepewnie. Saran uśmiechnęła się szeroko.

- Szkoda, że nie byłaś w Merlton, gdy Steve wyjawiał nam tę wielką nowinę. A więc, kiedy ślub? Nie przypuszczałam, że on kiedykolwiek się ożeni. Naprawdę bardzo się cieszę.

Michelle patrzyła na Saran, powoli rozumiejąc wszystko. Steve obwieścił rodzinie, że pobierają się? Zadrzała.

- Mam zawiadomić Steve'a, że tu jesteś, czy też chcesz, hm... zrobić mu niespodziankę?

- Nie mów mu, że przyszedłam - szybko odparła Michelle. W ten sposób nie będzie mógł powiedzieć, że nie chce jej widzieć. Czując na sobie baczne spojrzenie Saran, Michelle podeszła powoli do drzwi gabinetu Steve'a i uchyliła je cicho. Steve siedział przy biurku, rozmawiając przez telefon. Michelle zamarła z ręką na klamce.

Mężczyzna uniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się.

- Zadzwoń do ciebie później, Don - Michelle usłyszała słowa Steve'a.

Jej niepokój wzrastał w alarmującym tempie.

Co będzie, jeśli każe jej odejść?

Gdyby znów, jak ostatnim razem, przywitał ją swoim bezosobowym, uprzejmym uśmiechem, straciłaby resztki odwagi. Steve jednak nie odzywał się. Ta pełna napięcia cisza wydała się Michelle bardziej jeszcze denerwująca niż jego oficjalny uśmiech i uścisk dłoni. Steve Saraceni nie potrafił zdobyć się na uśmiech, choćby najbardziej fałszywy? To było nie do pomyślenia. Naprawdę ją znienawidził, stwierdziła. Przyszła za późno i powiedziała przedtem zbyt wiele. Musi wyjść stąd, zanim całkowicie załamie się na jego oczach.

- Przyszedłam w złym momencie - wyjąkała, tłumiąc łkanie. - Już wychodzę i...

Steve przebył dzielącą ich odległość zwinnie niczym kot.

- Nie! - Chwycił jej rękę, wciągnął dziewczynę do środka i zamknął drzwi. - Nie możesz odejść, Michelle. Zatrzymam cię tu dotąd, aż zrozumiesz, co czuję do ciebie - zawołał porywczo. - Musi istnieć sposób, by przekonać cię o mojej miłości. - Jej bliskość przyprawiała go o zawrót głowy. - Proszę - powiedział ochryple.

Ogromna radość ogarnęła Michelle. Steve nie czuł do niej nienawiści; nie chciał, by odeszła. Kochał ją! I nareszcie zrozumiała, jak bardzo.

- Już mnie przekonałeś - szepnęła, a w jej oczach lśniły łzy.

Postąpiła krok naprzód, pokonując dzielący ich dystans i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, Steve, tak mi przykro, że oskarżyłam cię o zdradę i nadużycie mego zaufania. Wiem, że nie zrobiłeś tego. Próbowaleś mnie nawet ochronić. Mogłeś obronić się, mówiąc, że uzyskałeś te informacje bezpośrednio od Eda, wyjawić mi prawdę o nim i o Leigh, lecz... Steve objął Michelle mocno.

- Nie miałem serca powiedzieć ci, co wiem o Dineenie. I tak wkrótce poznałabyś prawdę. Ja nie chciałem sprawiać ci bólu tymi wiadomościami.

Odchylił się trochę do tyłu, by móc zajrzeć w oczy Michelle.

- I tak bardzo cię zraniłem. Byłem lekkomyślny, jesteś przeze mnie w ciąży i...

- Nie! - krzyknęła, kładąc mu palec na ustach. - Steve, mylisz się. Nie winię cię za to, że jestem w ciąży. Do tego potrzeba dwojga, zapomniałeś? Ja także jestem za to odpowiedzialna. I wiesz co? Bardzo się cieszę. Chcę naszego dziecka, Steve. I jeśli wciąż tego pragniesz, chcę wyjść za ciebie i...

Nie pozwolił jej dokończyć. Odnalazł usta dziewczyny i całował ją namiętnie, potwierdzając to, że znów są razem. I że odtąd wszelkie nieporozumienia się skończyły.

Po policzkach Michelle płynęły łzy. Steve delikatnie otarł jedną z nich.

- Nie płacz, skarbie - powiedział łagodnie. - Kocham cię, Michelle. Myślałem, że nigdy mnie to nie spotka, ale kiedy poznałem cię, zakochałem się i to bardzo mocno.

- Och, Steve, ja też cię kocham. I powinnam była mieć do ciebie zaufanie, powinnam...

- Nie oglądajmy się wstecz, Michelle - przerwał jej cicho. - Zbyt wiele miałbym sobie do zarzucenia. Powinienem był wyznać ci miłość już dawno temu. Wtedy byłabyś pewna moich

uczuć, wiedziałabyś, że cię nie wykorzystuję. A już na pewno powinienem był wziąć cię w ramiona tego dnia, gdy powiedziałaś mi o dziecku. Tak cieszyłem się, że cię widzę, starałem się jednak tego nie okazywać. Wtedy wciąż liczyły się dla mnie pozory. Chciałem być górą, ale, najdroższa, już nigdy więcej się to nie powtórzy. Usłyszałaś ode mnie wiele niepotrzebnych słów, kiedy powinienem był powiedzieć, jak bardzo cię kocham i jak ogromnie pragnę cię i naszego dziecka. Bo to prawda, Michelle. Jesteś moja i zawsze będziemy razem.

- I... nie skończymy jak Dineenowie - szepnęła błagalnie.

- Nie ma o tym mowy. Nie zmarnowałbym naszego szczęścia dla jakiejś napalonej aktywistki. Mnie już to nie pociąga, Michelle. Dorosłem. Miłość do ciebie nie ogranicza mnie, to uczucie wyzwoliło mnie z egoizmu i... niepokoju.

- To dosyć interesujący synonim życia towarzyskiego, które prowadziłaś aż w czterech miastach - Michelle spoglądała na niego z uniesionymi brwiami.

- Przed poznaniem mnie hołdowałeś, mówiąc łagodnie, raczej wędrownemu stylowi życia.

- Porzucam taką egzystencję dla prawdziwego życia. - Steve zaśmiał się, przytulając ją mocno. Potem uniósł Michelle w górę i okręcił kilka razy. Kiedy stawiał ją na ziemi, przyłgnęła do niego całym ciałem, zamieniając swoje uwolnienie w zmysłową pieśczętę.

- Chodź, idziemy stąd. - Chwycił jej dłoń i pociągnął Michelle za sobą. - Musimy kupić obrączki, zrobić testy krwi, zorganizować dokumenty.

- Czy nie moglibyśmy się przedtem pokochać? - spytała Michelle bez tchu. - Minęło tyle czasu i tak bardzo za tobą tęskniłam, Steve.

- Skarbie, nie musisz prosić drugi raz. Śmiejąc się i trzymając za ręce wyszli z biura. W przyszłość mieli odtąd iść przez życie razem.

EPILOG

Siedem miesięcy później

- To chłopiec! - zawołał radośnie lekarz, oddając wiercącego się, kwilącego bobasa w ręce dumnego ojca.

Steve uśmiechał się szeroko, a jego ciemne oczy wydawały się podejrzanie wilgotne, gdy pokazywał Michelle ich nowo narodzonego syna. Ona jednak nie miała czasu, by podziwiać maleństwo, była teraz zajęta czymś ważniejszym: rodziła ich następne dziecko.

- Dziewczynka - ogłosił lekarz.

- Jest piękna - stwierdził Steve. Podał chłopca Michelle, by samemu wziąć teraz na ręce ich córkę.

- Ciemnowłosa dziewczynka i jasnowłosy chłopczyk - powiedziała z uśmiechem pielęgniarka.

- Tworzycie idealną rodzinę.

- Muszę przyznać rację pielęgniarce - wyznał Steve, gdy znaleźli się później w szpitalnym pokoju Michelle. Trzymał niebieskookiego Jake'a, zaś Michelle tuliła czarnooką Julie. -

Tworzycie idealną rodzinę. - Pochylił się, by pocałować żonę, a Michelle spojrzała na niego z miłością.

Już pierwsze testy wykazały ciążę bliźniaczą i Steve przez ostatnich siedem miesięcy nie mógłby okazać żonie więcej troski i wsparcia. Michelle wiedziała też, że będzie on oddanym ojcem. Założywszy rodzinę, poświęcił się jej z właściwą sobie pasją, zapalem i wigorem.

Ponieważ bliźniaki często przychodzą na świat wcześniej, lekarze zalecili Michelle zrezygnować z pracy w połowie ciąży. W nowych okolicznościach Michelle bez żalu rozstała się z biurem senatora Dineena. Romans Eda i Leigh trwał, przy czym oboje zdawali się całkiem zapominać o taktice i dyskrecji. Reszta zespołu Dineena odczuwała gniew, popadając w coraz większą demoralizację. Kolejne osoby rezygnowały z pracy, a gdy wieści o skandalicznym postępowaniu Eda doszły do wyborców w jego okręgu, powoli zaczęła również załamywać się jego pozycja polityczna. Szanse Dineena na zwycięstwo w wyborach bardzo zmalały, zwłaszcza gdy swoją kontrkandydaturę zgłosiła młoda, szczęśliwa mężatka, pełna zapału i wiary w to, co robi.

Wiedząc, jak wiele uwagi będą wymagały bliźniaki, Michelle zdecydowała się na pewien czas zrezygnować z kariery zawodowej. Gdyby jednak zechciała kiedyś znów pojawić się na scenie politycznej, inżynierowie prawodawstwa w każdym momencie gotowi byli podjąć z nią współpracę.

- Och, prawie zapomniałem. To przyszło dla ciebie w dzisiejszej poczcie. - Przytrzymując dziecko na jednym ramieniu, Steve podał Michelle grubą przesyłkę. - Na paczce są nowojorskie stemple.

- To książka Ashlinn! - ucieszyła się Michelle.

- Obiecała, że prześle mi egzemplarz. Znalazła wydawcę i sprzedała mu swoje opowiadania.

- Obiecała? Dla mnie brzmi to bardziej jak groźba.

Steve pomógł jej rozpakować przesyłkę.

- „W sidłach"! A cóż to za tytuł?

- To o kobietach kochających mężczyzn, którzy ich nie kochają - wyjaśniła Michelle.

Steve odłożył książkę na bok.

- To nie jest książka dla ciebie. Ty kochasz mężczyznę, który cię uwielbia. - Spojrzał z miłością w jej oczy. - Wiesz o tym, Michelle, prawda?

- Tak - szepnęła, ściskając lekko jego dłoń. - Wiem o tym, Steve.